

**TYGODNIK  
POWSZECHNY**

**DODATEK  
SPECJALNY**

„TP” 47/2020

# POLACY i NIEMCY: jak wyjść z historycznego klinczu



Polska i niemiecka straż graniczna w towarzystwie Angeli Merkel likwiduje granicę w Zittau po wejściu Polski do strefy Schengen, 21 grudnia 2007 r.

W tle: Niemcy niszczą polski szlaban graniczny i godło Polski na przejściu granicznym Orłowo Kolibki w Gdyni, 1 września 1939 r.

## Jak wyjść z klinczu?

**W TYCH DNIACH** zbiegają się trzy rocznice dotyczące powojennych relacji między Polakami i Niemcami. 55 lat temu, 18 listopada 1965 r., polscy biskupi podpisali list do biskupów niemieckich, który do historii przeszedł zwłaszcza z powodu jednego zdania: „Wybaczymy i prosimy o wybaczenie”. 50 lat temu, 7 grudnia 1970 r., kanclerz RFN Willy Brandt przyjechał do Warszawy, aby podpisać traktat o normalizacji stosunków z PRL; wizyta ta pamiętana jest głównie za sprawą jego gestu: składając kwiaty przed pomnikiem Bohaterów Getta, Brandt spontanicznie uklęknął. 30 lat temu, 14 listopada 1990 r., szefowie MSZ Polski (od niedawna wolnej) i Niemiec (właśnie zjednoczonych) podpisali traktat potwierdzający przebieg granicy; zamykał on kwestię, która wcześniej wywoływała w Polsce niepokój, a w czasach PRL służyła komunistom do legitymizowania ich władzy. O historiach tych pisaliśmy już w „Tygodniku” wielokrotnie. Dziś chcemy zastanowić się, jak wyjść z historycznego klinczu polsko-niemieckiego. Bo choć od II wojny światowej minęło 75 lat, są nadal sprawy odnoszące się do tamtej historii, które ciążyą.

„Postawmy tu tezę, która na pierwszy rzut oka może zabrzmieć prowokacyjnie: Polska, od tysiąca lat wschodni sąsiad Niemiec, oraz jej obywatelki i obywatele są dziś ofiarami drugiej kategorii w niemieckim postrzeganiu ofiar narodowego socjalizmu” – pisze w tekście otwierającym nasz dodatek Dieter Bingen. Wieloletni szef Niemieckiego Instytutu Spraw Polskich był współinicjatorem apelu, który grupa Niemców wystosowała w 2017 r. do swego rządu i parlamentu: aby w Berlinie stanął pomnik ofiar niemieckiej okupacji w Polsce. Kilka dni temu Bundestag podjął w tej sprawie decyzję.

Prowokacyjnie zabrmi też teza, którą stawiają Nancy Waldmann i Łukasz Grajewski, nasi autorzy młodszego pokolenia: uważają, że stosunki polsko-niemieckie są wciąż postkolonialne. Z kolei Anna Przybył pisze o tym, jak silnie przeszłość obecna jest w polsko-niemieckiej dyskusji. Gerhard Gnauck portretuje Ostpolitik, politykę wschodnią – zanurzoną, jakżeby inaczej, w historii. Natomiast niżej podpisany opowiada o tym, jak Niemcy pomagają militarnie Izraelowi, i pyta, czy podobna szczególna relacja polsko-niemiecka w sferze obronności mogłaby być wyjściem z problemu reparacji. Tego, który rząd w Berlinie uważa za zamknięty, a rząd w Warszawie oficjalnie nie porusza, lecz który jest przecież wciąż obecny – i obciążający. ©© WOJCIECH PIĘCIAK

Autor (ur. 1967) jest redaktorem działów Świat i Historia w „TP”. Opublikował szereg książek o Niemczech i ich najnowszej historii.

## Puste miejsce

DIETER BINGEN

**W Berlinie zapadła właśnie decyzja o utworzeniu miejsca, które będzie wyrazem empatii i szacunku wobec Polski i ofiar, jakie poniosła podczas niemieckiej okupacji.**

**B**ył rok 2017, gdy kilkadziesiąt osób z Niemiec, skupionych w oddolnej inicjatywie obywatelskiej, zaproponowało, aby w centrum Berlina – konkretnie: na placu Askańskim – zbudować *Polendenkmal*: pomnik ofiar niemieckiej okupacji w Polsce. Pomysł ten miał być odpowiedzią na swego rodzaju puste miejsce w niemieckiej kulturze pamięci albo, ujmując to inaczej – odpowiedzią na białą plamę, gdy idzie o historyczną wiedzę wielu Niemców na temat polityki okupacyjnej III Rzeszy w Polsce. Masowe zbrodnie, popełniane w latach 1939-45 na polskiej ludności cywilnej, do dziś są niemal nieznaną niemieckiej opinii publicznej.

### Ofiary drugiej kategorii

Postawmy tu tezę, która na pierwszy rzut oka może zabrzmieć prowokacyjnie: Polska, od tysiąca lat wschodni sąsiad Niemiec, oraz jej obywatelki i obywatele są dziś ofiarami drugiej kategorii w niemieckim postrzeganiu ofiar narodowego socjalizmu. W istocie jednak nie jest to prowokacja, lecz realistyczny opis stanu faktycznego, z którym zgadzają się niemieccy historycy i uważni obserwatorzy relacji polsko-niemieckich. Tematyczne priorytety w niemieckich debatach historycznych minionych dekad oraz priorytety w prawnych rozliczeniach ze zbrodniami narodowosocjalistycznymi (względnie ich brak) tylko podkreślają taką konstatację.

Ze świecą można by szukać niemieckiego policjanta, esesmana czy żołnierza Wehrmachtu (od generała po zwykłego szeregowca),

który zostałby skazany w Republice Federalnej za zbrodnie popełnione w okupowanej Polsce na ludności cywilnej, które nie miałyby [podkreślenie autora – red.] związku z Holocaustem. Przywołajmy choćby niesławną postać Heinza Reinefartha: odpowiedzialny za wymordowanie 50 tys. cywilów na warszawskiej Woli w sierpniu 1944 r., po wojnie robił karierę w Republice Federalnej, zawodową i polityczną – jako adwokat, poseł do parlamentu krajowego Szlezewiku-Holsztyna i wreszcie długoletni burmistrz miasta Westerland na wyspie Sylt, cieszący się szacunkiem otoczenia.

### Polska: państwo skazane na unicestwienie

Gdy w Niemczech mowa jest o „pęknięciu cywilizacyjnym”, jakie miało miejsce w krajach podbitych przez Wehrmacht, zwykle opisywane jest ono takimi pojęciami jak Holocaust i Szoah. W istocie wymordowanie europejskich Żydów to niemieckie piętno Kainowe. Jego częścią było systematyczne uśmiercenie 90 proc. żydowskich obywateli przedwojennego państwa polskiego. Wiedza o tych wydarzeniach jest dziś w Niemczech obecna, przynajmniej w zarysach. Niemal nieobecna jest natomiast ta wiedza na temat represji i mordów, które dotknęły nieżydowskich obywateli okupowanego państwa polskiego, jak też dotycząca losów 1,8 mln polskich robotników przymusowych, którzy trafili do III Rzeszy.

Tymczasem celem niemieckiej polityki w okupowanej Polsce było nie tylko zabijanie, prześladowanie i niewolenie ludzi – w liczbach



Przewodniczący Bundestagu Wolfgang Schäuble (na wózku) podczas obchodów 80. rocznicy niemieckiego ataku na Polskę, które na berlińskim placu Askańskim zorganizował Niemiecki Instytut Spraw Polskich. 1 września 2019 r.

idących w miliony. Było nim także unicestwienie państwa polskiego, narodu i kultury. Tuż przed atakiem na Polskę, 22 sierpnia 1939 r., Adolf Hitler oświadczył swoim generałom, że jego celem jest właśnie „unicestwienie” (niem. *Vernichtung*) Polski i „likwidacja jej żywotnych sił” (niem. *Beseitigung der lebendigen Kräfte*).

Znamienne, w jaki sposób grupa posłów do Bundestagu – wywodzących się z różnych partii: chadecji, SPD, Zielonych, FDP i Lewicy – uzasadniała (we wspólnym artykule, który ukazał się w 2019 r. na łamach stołecznego dziennika „Tagesspiegel”) potrzebę stworzenia w Berlinie miejsca pamięci poświęconego Polsce. Kwintesencją tego tekstu było zdanie: „Po 1 września 1939 r. wieloetniczna Polska stała się terenem, na którym narodowi socjaliści po raz pierwszy urzeczywistnili w całej rozciągłości wszystkie komponenty swojej rasowo-ideologicznej wojny na wyniszczenie (niem. *Vernichtungskrieg*), swojej okrutnej polityki okupacyjnej, swojej rasistowskiej ideologii »przeźrzeni życiowej« (niem. *Lebensraum*), swojego dogłębnego antysemityzmu i także antyślawizmu. Obszar Długofofalew został ponadto wykorzystany jako swego rodzaju laboratorium, w którym testowano sposoby dalszego prowadzenia wojny na wscho-

dzie Europy”. Dalej autorzy konstatowali, że wszystko to „od samego początku było celem i głównym elementem idei wojny przeciwko Polsce”.

Celowe unicestwienie świadectw kultury materialnej Polski, takich jak biblioteki, zabytki, muzea czy kościoły, a także rabunek dokonywany przez niemieckich ekspertów od sztuki i dyrektorów muzeów – wszystko to nie jest znane szerszej opinii publicznej w Niemczech.

### Balast na polskich plecach

Kolejnym szczególnym aspektem niemieckiej polityki w okupowanej Polsce był ten diaboliczny balast, który reżim narodowosocjalistyczny niejako „delegował” na ziemię polską. Chodzi o mord na polskich i europejskich Żydach, zorganizowany na skalę przemysłową. Niezwykły tragizm sytuacji w okupowanej Polsce polegał także na tym, że okupanci, działający wedle zasady *divide et impera*, bezwstydnie wykorzystali do swoich celów *modus* współżycia wielu narodów na tych ziemiach (nawet jeśli przed rokiem 1939 cechowało go często jedynie „życie obok siebie” oraz liczne konflikty).

Ma to długofalowe konsekwencje, trwające aż do dzisiaj – dla polskiej samoidentyfikacji oraz dla obrazu Polski w świecie. Obciąża to dodatkowo i tak zło-

żone relacje między Polakami i Żydami. Żaden inny europejski naród nie doświadczył wówczas czegoś porównywalnego. Także dlatego do relacji polsko-niemieckich przylgnęło coś wyjątkowego – wyjątkowego w sensie negatywnym.

### Wyparcie i jego przyczyny

Dlaczego dla wielu Niemców tak wielkim problemem jest dopuszczenie do siebie tego polskiego cierpienia? Bez wątpliwości można wskazać na dwa główne powody tego powszechnego braku zainteresowania, wyparcia i zapomnienia.

Po pierwsze, w Niemczech istnieje wyobrażenie o cywilizacyjnej i kulturalnej asymetrii między Polakami a Niemcami, które swymi korzeniami sięga jeszcze XVIII stulecia, a które od tamtego czasu uzasadniało antypolską politykę (historyk Klaus Zernack nazwie to później tradycyjną „negatywną polityką wobec Polski”). Po drugie, w dyskusji społecznej w Niemczech co i rusz dają się zaobserwować różne próby zdjęcia z siebie przynajmniej części odpowiedzialności poprzez szukanie czegoś, co można by przeciwstawić niemieckim zbrodniom w Polsce. Jedni wskazują więc na politykę Długofofalew przeciwko Polsce wobec mniejszości niemieckiej, a inni na powojenne wygnanie milionów Niemców z ich

→ rodzinnej ziemi, dokonywaną na nich zemstę i utratę historycznych niemieckich prowincji na wschodzie.

Wyższościowy – rzec można: kolonialny – sposób patrzenia na wschodniego sąsiada zaostrzał się w trakcie rozbiorów, w których uczestniczyły Prusy. Potem antypolskie stereotypy nie tylko nie zniknęły, ale przeciwnie – w okresie międzywojennym uzyskały nowe życie, rozpowszechniając się szeroko w niemieckim społeczeństwie. Wzmocnione przez propagandę III Rzeszy, przetrwały jej upadek i pokutowały wciąż w latach 50. i 60., zresztą nie tylko w Niemczech Zachodnich, lecz także w komunistycznej NRD.

### Emocje długiego trwania

Negatywne nastawienie wielu Niemców wobec Polaków po roku 1945 może wydać się na pozór niezrozumiałe – wszak Polacy stali się wówczas „współwięźniami” Niemców z NRD, a skutki żelaznej kurtyny dotykały zarówno podzielony naród niemiecki, jak też naród polski. Okazało się jednak, że negatywne emocje Niemców wobec komunizmu i Związku Sowieckiego zostały niejako przeniesione także na Polskę. Do tego doszedł obraz kreowany przez działaczy Związku Wypędzonych: w obrazie tym, pełnym emocji, mowa była o niemieckich osadnikach, którzy przez setki lat nieśli na wschód kulturę i cywilizację, jak też o utraconej ziemi rodzinnej oraz o panującym tam teraz chaosie i spustoszeniu.

Znamienne, że w niemieckim dyskursie o wygnaniu zza Odry i Nysy to głównie Polacy występowali w roli tych, którzy wypędzali Niemców; powstał nawet neologizm: słowo *Vertreiberstaat* [w wolnym przekładzie oddającym emocje: państwo winne zbrodni wypędzenia – red.]. Natomiast w roli tej rzadziej widziano Związek Sowiecki, choć to przecież z inicjatywy Stalina Wielka Trójka – przywódcy Związku Sowieckiego, USA i Wielkiej Brytanii – podjęła zgodną decyzję o przesunięciu granic Polski i przymusowym wysiedleniu ludności niemieckiej (a także polskiej, z ziem wschodnich II RP).

Mimo to zajęcie północnej części Prus Wschodnich przez Sowieców (obszaru obecnego obwodu kaliningradzkiego) przyjmowano – i do dziś przyjmuje się – do wiadomości znacznie łagodniej niż przesunięcie Polski na zachód; towarzyszyły też temu mniejsze emocje. Choć przecież Königsberg był miastem tak

samo niemieckim jak śląski Breslau czy pomorski Stettin.

### Mimo wszystko: „cud pojednania”

W kontekście całej tej negatywnej historycznej spuścizny trudno nie zauważyć i nie docenić tego, co jednak udało się dokonać w naszych relacjach, także po stronie niemieckiej: obciążone przez antypolskie kody kulturowe tradycyjnych niemieckich elit, zadanie nowego uregulowania relacji z Polską wymagało w Niemczech maksimum samokrytycyzmu.

Dziś, po kilku dekadach „przeorania” zastanych wyobrażeń, skutek jest taki, że w niemieckich elitach kulturalnych i politycznych oraz w społeczeństwie Republiki Federalnej – zarówno w dawnych Niemczech Zachodnich, jak też we wschodnich landach, które kiedyś tworzyły komunistyczną NRD – pozytywne nastawienie do Polski jest niekwestionowane w stopniu takim, jak nigdy wcześniej w dziejach naszych dwustronnych stosunków.

Katolicki intelektualista i polityk Stanisław Stomma opisał to zjawisko jako przezwyciężanie „fatalizmu wrogości”. A prezydent Bronisław Komorowski – przemawiający 10 września 2014 r. na forum Bundestagu, w związku z 75. rocznicą niemieckiej napaści na Polskę – mówił nawet o „cudzie pojednania”.

### Pamięć, szacunek, empatia

Nareszcie czas dojrzał także dla widocznego i trwałego gestu empatii oraz szacunku wobec Polski. Gestu, który powinien być osadzony w miejscu, gdzie niszczycielska polityka wobec naszego wschodniego sąsiada brała swój początek – w Berlinie.

Niezależnie od niezliczonych kontaktów, obywatelskich i kulturalnych inicjatyw, jak też stopniowego kształtowania się nowego pozytywnego obrazu Polski, musiało minąć ponad 70 lat od zakończenia II wojny światowej, zanim po stronie niemieckiej pojawił się apel, abyśmy my, Niemcy, stawili czoło tamtemu pęknięciu cywilizacyjnemu, którego nasi przodkowie dopuścili się w okupowanej Polsce – bez relatywizowania i bez odruchu obronnego – i abyśmy utworzyli godne miejsce pamięci, poświęcone ofiarom niemieckiej okupacji w Polsce.

Stosowny apel – skierowany do niemieckiej opinii publicznej oraz do par-

lamentu – przedstawiono na konferencji prasowej 15 listopada 2017 r. Wystosowała go oddolna inicjatywa skupiona wokół Floriana Mausbacha (byłego prezesa Federalnego Urzędu Budownictwa i Planowania Przestrzennego), Rity Süsmuth (byłej przewodniczącej Bundestagu z ramienia chadecji), Wolfganga Thiersego (byłego przewodniczącego Bundestagu z ramienia SPD), Andreasa Nachamy (ówczesnego dyrektora berlińskiego muzeum i miejsca pamięci Topografia Terroru) oraz autora tego tekstu, wówczas dyrektora Niemieckiego Instytutu Spraw Polskich (Deutsches Polen-Institut) w Darmstadt. Ponad stu sygnatariuszy – wśród nich znane postacie ze świata nauki, kultury, religii i polityki – postulowało zbudowanie pomnika dla ofiar niemieckiej okupacji w Polsce.

Zainteresowanie, z jakim spotkał się ten projekt, oraz ożywiona dyskusja, którą wywołał on w Niemczech, wynikały zapewne także i z tego, co w przeddzień 80. rocznicy wybuchu II wojny światowej stało się nieubłaganą oczywistością: że ostatni świadkowie, którzy mogą zdać osobistą relację z tego, co działo się w latach 1939-45, już wkrótce nas opuszczą. I że jest to ostatnia już okazja, aby taki gest mógł zostać zaadresowany w pierwszym rządzie właśnie do nich, do świadków – ludzi, którzy doświadczyli niemieckiej okupacji. Oraz aby możliwe było jeszcze spotkanie i rozmowa przy jednym stole ludzi z pokolenia wojennego z przedstawicielami młodej generacji, dla której II wojna światowa to dziś już bardzo odległa przeszłość.

Apel z listopada 2017 r. uruchomił więc w Niemczech szeroką i żywo prowadzoną debatę, która spotkała się z zainteresowaniem także w Polsce, ze strony mediów i polityków. W toku tej debaty wyłoniły się ostatecznie dwa odmienne wyobrażenia. Jedni popierali ideę takiego gestu empatii i szacunku, zaadresowanego zasadniczo do Polaków. Inni polemizowali, że konieczne jest utworzenie centrum dokumentacji i miejsca pamięci, które byłoby poświęcone wszystkim „zaniedbanym” do tej pory ofiarom narodowosocjalistycznego terroru w całej Europie (względnie – w całej Europie Wschodniej). Ci ostatni sprzeciwiali się, jak twierdzili, „unarodawianiu” pamięci. Po obu stronach głos zabierali uznani historycy i politycy. Zdarzało się, że zaciętość i awersja wobec osobnego uhonorowania oby-



Od lewej: Andreas Nachama, Florian Mausbach i Dieter Bingen, współinicjatorzy apelu o zbudowanie pomnika polskich ofiar niemieckiej okupacji. Plac Askański w Berlinie, 15 listopada 2017 r.

wateli i obywateli Polski były czasem tak silne, że aż krępujące.

Tymczasem zwolennicy koncepcji *Pöhlendekmal* podkreślali, że nie mają zastrzeżeń wobec idei udokumentowania niemieckiej polityki okupacyjnej w całej Europie – uważali jednak, że nie powinna być ona traktowana jako alternatywa wobec ich pomysłu.

### Pomnik i jego wymowa

Apel z listopada 2017 r. i towarzysząca mu dyskusja unaocznily też wyraźnie, kto powinien być adresatem takiego pomnika.

To my, Niemcy, jako społeczeństwo obywatelskie budujemy miejsce, które ma upamiętnić ofiary niemieckiej okupacji w Polsce z lat 1939-45. Kierujemy spojrzenie do wewnątrz, to znaczy ku niemieckiemu społeczeństwu, ale również – w kierunku Polski. Żyjący jeszcze świadkowie, jak też ich potomkowie w drugim czy trzecim pokoleniu, powinni wiedzieć, że my, Niemcy, niezależnie od naszego wieku i osobistej odpowiedzialności zrozumieliśmy, co Niemcy uczynili wówczas Polakom, oraz że chcemy okazać naszą empatię. Fakt, że takiego gestu dotąd nie było, jest w Polsce – niezależnie od generacji albo politycznej orientacji – zauważany i odczuwany jako brak. I to pomimo tego, że relacje między oboma narodami mają dziś zupełnie inny, o wiele lepszy charakter

Apel z listopada 2017 r. poparł też przewodniczący Bundestagu Wolfgang Schäuble.

### Oczekiwanie

Ale choć projekt uzyskał szerokie poparcie w parlamencie – odpowiedni wniosek poparło swoimi podpisami łącznie 260 posłów z CDU/CSU, SPD, Zielonych, FDP i Lewicy – sygnatariusze apelu z 2017 r. musieli z rozczarowaniem skonstatować, iż Bundestag nie podjął w tej kwestii decyzji przed 80. rocznicą niemieckiego napadu na Polskę.

Zamiast tego ze strony politycznej wykonano kilka gestów, które na krótką chwilę skupiły uwagę opinii publicznej. I tak, minister spraw zagranicznych Heiko Maas pojechał do Warszawy, aby wziąć udział w obchodach 75. rocznicy powstania z 1944 r. Podczas spotkania z grupą młodych Polaków i Niemców, 1 sierpnia w Muzeum Powstania Warszawskiego, Maas mówił: „Nie możemy cofnąć przeszłości. Ale możemy przyczynić się do tego, że ofiary zbrodni zostaną upamiętnione, i to w sposób adekwatny”. Poparł także inicjatywę zbudowania w stolicy Niemiec miejsca pamięci dla ofiar wojny i okupacji w Polsce. „Należało to uczynić już dawno temu” – dodał.

W Berlinie sytuację uratował chwilowo Wolfgang Schäuble, polityk bardzo wyczulony na punkcie adekwatnej polityki historycznej: zaprosił marszałka Sejmu do niemieckiej stolicy, na obchody rocznicy 1 września, które na placu Askańskim zaplanował Deutsches Polen-Institut. W międzyczasie nastąpiła zmiana na tym stanowisku i do Berlina przybyła ostatecznie nowa marszałkini Elżbieta Witek.

W ten sposób, w słoneczny letni dzień 1 września 2019 r., inicjatywa zupełnie oddolna zamieniła się, poniekąd symbolicznie, w obchody oficjalne z państwowym błogosławieństwem, które nie były przewidziane w kalendarzu organów federalnych.

### Historyczna decyzja

Ostatecznie po długich zmaganiach, których celem było również uzyskanie możliwie jak najszerszego konsensu ponadpartyjnego, decyzja zapadła z górą rok później: kilkanaście dni temu, 30 października 2020 r., głosami wszystkich frakcji – CDU/CSU, SPD, Zielonych, FDP i Lewicy (posłowie AfD wstrzymali się) – przyjęto

→ rezolucję, w której Bundestag wzywa rząd federalny, aby „w prominentnej lokalizacji w Berlinie” powstało „miejsce, które w kontekście szczególnych relacji polsko-niemieckich poświęcone będzie polskim ofiarom II wojny światowej i narodowosocjalistycznej okupacji Polski, a które będzie miejscem spotkania i konfrontacji z historią. Powinno ono zbliżyć Polaków i Niemców, i w ten sposób przyczynić się do pogłębienia naszych relacji, do porozumienia i przyjaźni, jak też do likwidowania uprzedzeń”.

Dalej mowa jest o tym, że należy wypracować „koncept [tego miejsca] we współpracy z polskimi i niemieckimi ekspertami i ekspertami ze świata nauki i społeczeństwa obywatelskiego, w tym z Deutsches Polen-Institut”, uwzględniając w tej koncepcji również przestrzeń dla „aktywności obywatelskich, takich jak praca z młodzieżą, edukacja polityczna, spotkania itd.”.

Decyzja Bundestagu naszkicowała więc pewne ramy, siłą rzeczy jeszcze ogólne, aby w przyszłości to puste miejsce w niemieckiej kulturze pamięci oraz w społecznej świadomości historycznej zostało wypełnione. W oparciu o wytyczne Bundestagu trzeba będzie stworzyć teraz – i to szybko, w jakimś przewidywalnym czasie – przekonującą koncepcję, która połączy trzy funkcje: miejsce pamięci (pomnik), przekaz informacji historycznej i polsko-niemieckie spotkanie.

Historyczna decyzja już zapadła. Teraz zaczął się kolejny etap.

© DIETER BINGEN  
Przełożył WP

*Autor (ur. 1952) jest politologiem i historykiem, w latach 1999–2019 był dyrektorem Niemieckiego Instytutu Spraw Polskich (Deutsches Polen-Institut – ośrodek badawczo-edukacyjny, założony w 1980 r. w Darmstadt przez tłumacza Karla Dedeciusa, zajmujący się polską historią, polityką, kulturą i społeczeństwem). Był profesorem gościnnym Uniwersytetu Technicznego w Darmstadt, jest profesorem honorowym Wyższej Szkoły Zittau/Görlitz, autorem licznych publikacji o Polsce i relacjach polsko-niemieckich. Jeden z inicjatorów zbudowania w Berlinie pomnika ofiar niemieckiej okupacji w Polsce.*



Fragment wystawy w Muzeum II Wojny Światowej. Gdańsk, 29 stycznia 2017 r.

wpływa na współczesne relacje polsko-niemieckie, jest opóźnienie w udzieleniu *agrément* ambasadorowi Niemiec Arndtowi Freytagowi von Loringhovenowi, który długie tygodnie czekał na rozpoczęcie misji dyplomatycznej w Warszawie. Wielu komentatorów zwracało uwagę, że ojciec dyplomaty, Bernd Freytag von Loringhoven, w ostatnich miesiącach wojny pracował jako oficer sztabowy w bunkrze Hitlera – i że z tego powodu osoba ambasadora budziła zastrzeżenia w Polsce.

### W cieniu polityki

Historia niestety bywa też instrumentalizowana na potrzeby polityki wewnętrznej.

Opowiada prof. Robert Traba z Instytutu Studiów Politycznych PAN: – W 2017 r., gdy byłem jeszcze dyrektorem Centrum Badań Historycznych PAN w Berlinie, przyjechałem około 1 sierpnia do Polski i doznałem szoku. W TVP ujrzałem spektakl nienawiści, jaki mogłem sobie wyobrazić w latach 60. XX w. Najpierw spot zaraz po „Wiadomościach” TVP, w którym lektor mówi „Niemcy, to z waszych podatków Adolf Hitler finansował zbrodnie i mordowanie ludzi!”, później politycy broniący baneru na stadionie Legii z niemieckim żołnierzem przykładającym pistolet do głowy dziecka. Napisałem obywatelski głos sprzeciwu.

„Przeszłość nie może stać się przedmiotem politycznej manipulacji. Jako historyk i polski patriota protestuję przeciw fali nienawiści wobec Niemców kreowanej przez polityków i podsycanej przez media publiczne. Jest to propaganda nie służąca prawdzie historycznej, lecz rozniecaniu negatywnych emocji w celu osiągnięcia doraźnych celów politycznych” – napisał wtedy Traba.

– Głos ten kosztował mnie interwencję ministra spraw zagranicznych u prezesa PAN. Na szczęście dostałem też liczne głosy wsparcia – wspomina niemcoznawca.

Jednak Waldemar Czachur uważa, że przyczyn ochłodzenia stosunków polsko-niemieckich i polskiej nieufności wobec Niemców należy szukać nie tylko w rządach PiS.

## Skazani na historię

ANNA PRZYBYLL

### Polsko-niemieckie relacje wciąż są pełne odniesień do przeszłości, zwłaszcza tych dotyczących II wojny światowej. Inaczej chyba być nie może.

**T**o musiało być na początku lat 90. ubiegłego wieku. Moją szkołę podstawową w Warszawie odwiedził weteran spod Monte Cassino. Z tej okazji na zajęciach plastycznych tworzyliśmy prace inspirowane bitwą z maja 1944 r. Najlepsze rysunki zostały pokazane starszemu panu w mundurze. Jeden z kolegów naryso-

wał płonący czołg, ale z ilustracji nie wynikało – aliancki czy niemiecki. Na widok rysunku weteran wykrzyknął: „Wspaniale odtworzona »Pantera«!”. Kolega nieśmiało spytał, skąd wiadomo, że to pojazd Wehrmachtu; najwyraźniej on sam chciał namalować po prostu czołg. „Skoro płonie, to czołg niemiecki. Tak musi być!” – padła odpowiedź.

### Mit romantycznego pojednania

Zmieniają się epoki, ustroje i rządy, a stosunki polsko-niemieckie płoną emocjami na tle sporów historycznych.

Propaganda PRL podtrzymywała widmo rewizji granic na Odrze i Nysie, zaszczepiała Polakom lęk przed utratą ziem zachodnich. Dzieci straszono Herbertem Hupką i Herbertem Czają jako czołowymi niemieckimi rewizjonistami, jak również kanclerzem RFN Konradem Adenauerem w krzyżackim płaszczu.

Gdy rozszerzała się Unia Europejska, uosobieniem niemieckiego zła stali się ówczesna szefowa Związku Wypędzonych Erika Steinbach i Rudi Pawelka z Powiernictwa Pruskiego, które chciało odzyskania przez Niemców majątków pozostawionych po wojnie w Polsce. I nie miało znaczenia zarzekanie się po stronie niemieckiej, że wpływy Steinbach są zni-

come, a Powiernictwo jest prywatnym podmiotem bez poparcia rządu. Fala nieufności, czasem nawet antyniemieckości zalała wtedy polskie media, politykę i opinię publiczną.

– Tematy sporne, które się po 1989 r. pojawiły w polsko-niemieckich relacjach, burzyły powoli mit romantycznego pojednania, irytowały obie strony. Ale myślę, że *summa summarum* wzmacniały nasze partnerstwo i jakość dialogu, bo poszerzały naszą wrażliwość na bolączki kraju sąsiedniego – uważa prof. Waldemar Czachur, wykładowca w Instytucie Germanistyki Uniwersytetu Warszawskiego i przewodniczący Rady Fundacji Krzyżowa.

Spory o II wojnę światową, o pamięć o niemieckich zbrodniach i polskich ofiarach oraz o formy upamiętnienia w obu państwach często nas dzielą. Najświeższym przykładem tego, jak historia

→ – Gdyby władzę w Polsce objął rząd lewicowo-liberalny, byłoby więcej medialnej inscenizacji partnerstwa i przyjaźni, ale nie byłoby radykalnej zmiany ku strategicznemu partnerstwu na rzecz Europy – uważa Czachur. – Jeśli my nie zmienimy kanonu lektur, nie usuniemy z programów szkolnych zbędnej antyniemieckości, a z kolei Niemcy w swoich szkołach nie zmieniają kanonu nauczania o historii II wojny i także patrzenia na wschód z poczuciem wyższości, to zawsze będziemy wychowywać obywateli, którzy są do siebie nastawieni antagonistycznie.

### Powracający temat reparacji

Przykładem instrumentalizacji sporów polsko-niemieckich na rzecz polityki wewnętrznej w Polsce było zajęcie się tematem reparacji wojennych przez Biuro Analiz Sejmowych we wrześniu 2017 r., co zbiegło się w czasie z kłopotami Polski w Unii Europejskiej.

Komisja Europejska ogłosiła zamiar wszczęcia procedury przeciw Polsce, związanej z artykułem 7. unijnego traktatu. Równocześnie rząd miał obawy przed postulatami organizacji żydowskich, dotyczących dawnego mienia żydowskiego w Polsce. I akurat wtedy, jak królika z kapelusza, wyciągnięto roszczenia reparacyjne wobec Niemiec.

Choć wiadomo, że takie roszczenia finansowe z góry skazane były na niepowodzenie – rząd w Berlinie uważa je za prawnie zamknięte – to jednak samo podjęcie tematu skutków niemieckiej okupacji w Polsce wielu historyków, i to po obu stronach Odry, oceniło pozytywnie. A zatem, paradoksalnie, całe zamieszanie miało też pozytywne skutki.

Warto przypomnieć, że nie był to pierwszy raz, gdy reparacje stały się tematem w Sejmie. We wrześniu 2004 r. – gdy premier wywodził się z SLD, a opozycyjne Platforma Obywatelska oraz Prawo i Sprawiedliwość szykowały się do wspólnego (jak jeszcze sądzono) przejęcia władzy – izba niższa polskiego parlamentu przyjęła głosami wszystkich sił politycznych uchwałę „w sprawie praw Polski do niemieckich reparacji wojennych oraz w sprawie bezprawnych roszczeń wobec Polski i obywateli polskich wysuwanych w Niemczech”.

Wywołała ona w Berlinie tym większe zdziwienie, że dopiero co Warszawę odwiedził kanclerz Gerhard Schröder – z okazji obchodów 60. rocznicy powsta-



W serialu „Nasze matki, nasi ojcowie” żołnierze AK (na zdjęciu przedstawiający ich aktorzy) zdobywają niemiecki pociąg z żydowskimi więźniami, aby następnie pozostawić ich na pewną śmierć. Telewizja ZDF sprzedała ten film do ponad 80 krajów świata.

nia warszawskiego – i zapewniał, że rząd federalny nie popiera roszczeń niemieckich wypędzonych (było to w apogeum aktywności Eriki Steinbach). O co tym Polakom znowu chodzi, ciągle im mało – taki wydzźwięk miały medialne doniesienia na temat uchwały w niemieckich mediach. Ale równocześnie towarzyszyły im zdjęcia zniszczonej Warszawy, a świadomość krzywd Polaków wzrastała.

Dr Paweł Ukielski, zastępca dyrektora Muzeum Powstania Warszawskiego i adiunkt w Zakładzie Europy Środkowo-Wschodniej Instytutu Studiów Politycznych PAN, zaznacza, że woli mówić o zadośćuczynieniu niż o reparacjach, gdyż jest to słowo dużo szersze, które przenosi debatę z poziomu formalnoprawnego na poziom polityczny.

– Sprawa zadośćuczynienia będzie toczyła się jeszcze bardzo długo. Będzie odbywała przy różnych zatargach polsko-niemieckich i politycznych rozgrywkach w Polsce oraz w Niemczech. Środki, które Polska dotąd uzyskała od Niemiec jako zadośćuczynienie, są dalece rozbieżne ze stratami wojennymi. Za jakiś czas być może strona niemiecka zdecyduje się na pewien gest finansowo-polityczny wobec Polski – prognozuje Ukielski.

### Traktowanie protekcyjne

Ościeniem w naszych stosunkach jest też asymetria w traktowaniu niemieckiej Polonii na tle tego, jak Polska traktuje u siebie mniejszość niemiecką. Polskie rządy od lat zabiegają o przyznanie Polonii statusu mniejszości. Niemcy na to reagują

zimno, gdyż – jak argumentują – status ten mają jedynie tzw. mniejszości historyczne (Serbołużyczanie, Sinti i Roma, Fryzowie czy Duńczycy), a przyznanie go Polakom niechybnie spowoduje, że o to samo upomną się np. obywatele Niemiec pochodzenia tureckiego.

W 2014 r. niemieckie MSW odrzuciło wnioski Związku Polaków w Niemczech o nadanie Polakom statusu mniejszości. W polskiej narracji było to tożsame z utrzymaniem decyzji hitlerowskich Niemiec (delegalizujące organizacje mniejszościowe) i pokazem niemieckiej arogancji, mówiącej Polakom: jesteście jak wszyscy inni, nie zrobimy dla was wyjątku.

Dokładnie taki sam argument pojawiał się w kontekście budowy pomnika upamiętniającego polskie ofiary okupacji niemieckiej w latach 1939-45. – Niemiecka argumentacja, że nie chcą nam postawić pomnika, bo wtedy zgłoszą się do nich inne grupy narodowościowe po własne miejsca pamięci, była ponownie protekcyjnym potraktowaniem Polaków: jesteście jak inni – uważa Ukielski. Nie tylko on zwraca w tej dyskusji uwagę, że niemiecka okupacja w Polsce miała charakter wyjątkowy na tle Europy.

– Niemcy zarzucają nam nacjonalizację pamięci – mówi wicedyrektor Muzeum Powstania, który niedawno wydał książkę „Pamięć Polski, pamięć sąsiadów. Pamięć Europy”. – Wtedy odpowiadam im, że ginęliśmy właśnie dlatego, że byliśmy Polakami. Z polecenia ich przywódcy mieliśmy zniknąć, zostać starci z powierzchni ziemi właśnie z powodu

narodowości. I dlatego pomnik musi się odnosić do Polaków, do naszej narodowości. Próba rozmycia Polaków w pomniku słowiańskich czy wschodnioeuropejskich ofiar wojny, umieszczenia nas na równi z oprawcą sowieckim, również była przykładem aroganckiej argumentacji.

### Widoczny znak

Dziś wiemy, że stworzenie takiego miejsca pamięci poświęconego Polsce dojdzie do skutku.

– Niemiecki parlament zdecydował niedawno, że powstanie widoczny znak, który ma upamiętniać to, co Niemcy wyrządzili Polakom podczas II wojny światowej. Będzie to znak, ale także centrum spotkań i rozmów o stosunkach polsko-niemieckich, o naszej trudnej, ale też inspirującej historii – mówi prof. Peter Oliver Loew, szef Niemieckiego Instytutu Spraw Polskich w Darmstadt, który zabiegał o utworzenie takiego miejsca. – Jak ono będzie dokładnie wyglądać, okaże się w toku narad w najbliższych tygodniach, miesiącach, nawet latach – dodaje Loew.

Waldemar Czachur nie kryje uznania wobec ostatniej debaty w Bundestagu na temat pomnika, ale na zimno ocenia jej szersze znaczenie. – W Bundestagu miała miejsce piękna, emocjonalna, wzruszająca debata na temat Polski i konieczności zbudowania pomnika ofiar z Polski, z okresu niemieckiej okupacji. Ale daleko mi do euforii, bo społeczeństwo niemieckie wcale tak jeszcze nie myśli, jak argumentowali podczas tej debaty niektórzy niemieccy deputowani – mówi germanista [więcej o tej inicjatywie pisze w tym dodatku Dieter Bingen – red.].

Nie wiemy, kiedy dokładnie ani w jakiej formie powstanie w Berlinie takie miejsce. Ale wiemy prawie na pewno, gdzie: przy placu Askańskim.

„Naprzeciwko przyszłego Centrum Dokumentacji Federalnej Fundacji »Ucieczka, Wypędzenie, Pojednanie« w Deutschlandhaus przy Askanischer Platz” jest „stosowne miejsce, aby wzniesić tu pnący się ku górze, z daleka widoczny znak upamiętnienia w polityczno-symbolicznym centrum niemieckiej stolicy” – pisali w apelu do Bundestagu niemieccy intelektualiści równo trzy lata temu, w listopadzie 2017 r.

– Temat wypędzenia wróci, gdy otworzy się to Centrum Dokumentacji – przy-

pomina o tej trochę zakurzonej sprawie Robert Traba.

Pierwotną inicjatorką powstania Centrum, wówczas jeszcze pod nazwą Centrum przeciwko Wypędzeniom, była Erika Steinbach. Ze względu na to, że tuż obok centrum niemieckiej martyrologii wojennej ma teraz powstać widoczny znak polskiej krzywdy, zabiegi środowisk wypędzonych o otwarcie swojego ośrodka mogą przybrać na sile. Taki „wyścig” na miejsca pamięci może znow kosztować Polskę i Niemcy sporo nerwów.

W pierwszej dekadzie XXI stulecia, w okresie sporu wokół działalności Eriki Steinbach, nawet tak wyważony człowiek jak Władysław Bartoszewski (pełniący funkcję pełnomocnika premiera Donalda Tuska ds. dialogu międzynarodowego) mówił, że „ta kobieta uczyniła swoim zawodem rewanżyzm”, i nie krył wzburzenia, że Steinbach jest zaangażowana w projekty historyczne dotyczące Polski. Ona „tak się dokładnie nadaje do pertraktacji z Polską, jak zdecydowany antysemita do pertraktacji z Jerozolimą” – mówił Bartoszewski.

Dziś była już szefowa Związku Wypędzonych jest na marginesie niemieckiej polityki. Stała się czelem fundacji związanej z populistyczną AfD i głosi ksenofobiczne hasła.

### Co pokazuje barometr

Polaków wciąż boli, że Niemcy traktują ich z góry, również w kwestiach historycznych, przy jednoczesnym nikłym zainteresowaniu historią sąsiada. Wgląd we wzajemną asymetrię postrzegania historii przynosi doroczne badanie Instytutu Spraw Publicznych „Barometr Polska-Niemcy”. Z edycji 2020, zatytułowanej „Sąsiedztwo z historią w tle: spojrzenia przez granice”, dowiadujemy się, że wśród skojarzeń polskich respondentów dotyczących Niemiec najliczniejszą grupę stanowią pojęcia związane z dramatyczną historią: obejmują 30 proc. wszystkich asocjacji, podczas gdy w Niemczech jest to zaledwie 7 proc.

Zdecydowane różnice w polskich i niemieckich opiniach istnieją też w przypadku oceny, czy cierpienia i ofiary Polaków, jakich doświadczyli w swojej historii, zostały wystarczająco uznane przez międzynarodową opinię publiczną. Dokładnie połowa Polaków uważa, że tak się nie stało (50 proc.), podczas gdy więk-

szość Niemców sądzi, że tak właśnie jest (56 proc.).

– Niemcy mają poczucie, że przeszłość udało się przezwyciężyć, są z tego dumni. I być może słusznie. Ale idą krok dalej i uważają, że to jest wzór do naśladowania dla wszystkich innych, co w Polakach budzi irytację. Polacy są przekonani, że zrównywanie naszych podejść do historii jest okazywaniem niemieckiej wyższości, buty – uważa Paweł Ukielski.

– Szczególnie jest tak w kontekście Holocaustu – dodaje wicedyrektor Muzeum Powstania Warszawskiego. – Prawda jest, że w Polsce był problem szmalcownictwa, wydawania Żydów. Ludzi, którzy zachowywali się niegodnie, było bardzo wielu. Jednak to są jednostki, które działały wbrew swojej wspólnotie politycznej, wbrew władzom RP. Każde wydawanie Żydów było działaniem wbrew swemu państwu. To jest fundamentalna różnica, gdyż Niemcy robili to w imię swojego państwa.

„Niemcy jako sprawca zbrodni wojennych stały się dzisiaj depozytariuszem kapitału moralnego, wskazując siebie jako przykład, jak należy przepracowywać podobne tragedie stanowiące obciążenie dla własnego społeczeństwa, jak i sąsiedzkich relacji, oraz jak budować państwo oparte na pryncypiach demokracji liberalnej. Ta strategia rozrachunku i pojednania odbierana jest w Polsce przez część elit jako relatywizacja odpowiedzialności, ale także jako przejaw niemieckiej buty” – w taki sposób o tym zjawisku piszą Waldemar Czachur, Peter Oliver Loew i Agnieszka Łada w publikacji „Dynamiki (nie)rownowagi. Jak Polacy i Niemcy komunikują się ze sobą i komunikują o sobie”.

### Niemcy się zmieniają

Agnieszka Łada, wicedyrektorka Niemieckiego Instytutu Spraw Polskich, zwraca uwagę na dwa ważne czynniki, które powodują w Niemczech zmniejszone zainteresowanie historią w relacjach z Polską: zmianę pokoleniową i zmianę etniczną w niemieckim społeczeństwie.

– Wielu młodych niemieckich polityków nie rozumie, dlaczego mają się zajmować tym tematem, szczególnie że coraz większy procent społeczeństwa to nie są rdzenni Niemcy. Niemiec z kolejnego już pokolenia nie będzie się czuł odpowiedzialny za Holocaust czy za zbrodnie popełnione w Polsce. Z kolei wizyta na

→ polskim cmentarzu ofiar wojny dla niemieckiej młodzieży imigranckiej z drugiej już generacji mieszkającej w Niemczech nie jest przeżyciem osobistym, bo to nie ich przodkowie ponoszą odpowiedzialność za zbrodnicze czyny. A przecież osoby o korzeniach nierdzennie niemieckich to także dzisiejsi nauczyciele, ministrowie w państwach związkowych – mówi Agnieszka Łada.

Wicedyrektorka Deutsches Polen-Institut zauważa równocześnie, że historia odgrywa coraz mniejszą rolę na poziomie współpracy miast partnerskich. – Nieraz polsko-niemiecka tragiczna przeszłość i chęć zadośćuczynienia była ze strony niemieckiej motywacją do podjęcia takiej współpracy, w latach 80. i 90. XX w. Niemcy nawiązywali te relacje z potrzeby serca, bo czuli się odpowiedzialni. Dziś osoby, które zajmują się tą współpracą, niekoniecznie są motywowane wydarzeniami z przeszłości – komentuje Łada.

„Polacy często przyznają, że historia nie odgrywa roli, i wręcz starają się nie tematyzować jej tak, aby mogło być to zrozumiane, że wypominają Niemcom ich zbrodnie i polską rolę ofiary. Niektórzy Polacy wręcz współczują Niemcom, że cały czas są oni konfrontowani z tą przeszłością, nawet jeśli nie mają z nią, w odczuciu polskich rozmówców, nic wspólnego” – czytamy w opracowaniu „Szukać tego, co łączy. Rozwój, szanse i wyzwania partnerstw miast z Polski i Niemiec”, wydanym w tym roku przez instytut w Darmstadt.

### Leo, powtórz Grunwald!

Jak zatem rozmawiać z Niemcami o historii?

– Jeśli znamy dobrze niemiecki kod kulturowy, jeśli wiemy, jakich argumentów użyć, aby zyskać zaufanie partnera, oraz jak zachować w rozmowie ważny dla Niemców dystans i spokój, to może nam to pomóc skutecznie przeforsować polski punkt widzenia. Rozmowy polsko-niemieckie o historii, szczególnie przy wspólnych projektach, to bardzo często walka na słowa, np. czy używamy pojęcia „niemiecki”, czy też „nazistowski” – przekonuje Waldemar Czachur.

Na słowa i na obrazy, bo motywy wojenne goszczą nawet na okładkach. Szczególnie dwie odbiły się szerokim echem za Odrą. Pierwsza to okładka tygodnika „Wprost” z września 2003 r., przedstawiająca Erikę Steinbach w mundurze SS i do-

■ Pamięć historyczna Niemców jest ważna także dlatego, gdyż rzutuje na polityczne relacje Berlina z Moskwą.

siadającą czolgającego się na czworakach kanclerza Schrödera. Kontrowersyjnej grafice towarzyszył napis przypominający, że Niemcy są winni Polakom bilion dolarów za II wojnę światową.

Drugi zestaw z historyczną konotacją zafundowały kibicom bulwarówki w 2008 r. przed meczem obu reprezentacji narodowych. Fotomontaż w „Super Expressie” przedstawiał, jak polski trener Leo Beenhakker trzyma odcięte i ociekające krwią głowy piłkarza niemieckiej reprezentacji Michaela Ballacka oraz trenera Joachima Löwa. Powyżej napis: „Wojna polsko-niemiecka”. „Fakt” z kolei pokazywał Beenhakera przymierzającego się, by ściąć mieczem głowę Ballackowi, odzianemu w płaszcz krzyżacki i pikielhaubę. „Leo, powtórz Grunwald” – wołał nagłówek.

Podobny apel, tyle że w formie muzycznej, wystosował do słuchaczy zespół Armia, który w 2010 r. nagrał oficjalną piosenkę obchodów 600. rocznicy bitwy pod Grunwaldem, czy też wyrażają tylko ogólnie antyniemieckie nastawienie.

50 lat wcześniej, z okazji okrągłej rocznicy bitwy, 30 mln Polaków poszło do kina na „Krzyżaków” Aleksandra Forda (był to rekord rodzimej kinematografii). Obraz złego krzyżaka stał się elementem kulturowym.

### Ich matki, ich ojcowie

W potęgę produkcji na srebrnym ekranie wierzą i Polacy, i Niemcy. Ale to nasi sąsiedzi są skuteczniejsi w pokazywaniu swojej historii w kinie i telewizji. Ich produkcje filmowe robione są z istic hollywoodzkim rozmachem i przemawiają do wyobraźni przeciętnego widza na całym świecie, nie tylko w Niemczech.

W Polsce ogromne emocje wzbudziła zwłaszcza trylogia „Nasze matki, nasi ojcowie”, wyprodukowana w 2013 r. przez drugi kanał telewizji publicznej ZDF, w której kaleczący język polski partyzanci AK chwala się, że Żydów „topią jak koty”. Apogeum tej antypolskiej narracji była scena, gdy akowcy atakują i opanowują niemiecki pociąg towarowy – po czym, gdy orientują się, że w wagonach znajdują się żydowscy więźniowie, bez słowa odchodzą, zostawiając Żydów na pewną śmierć w zaryglowanych wagonach.

Polscy krytycy serialu argumentowali, że jest to scena całkowicie zmyślona. Natomiast jego niemieccy twórcy twierdzili, że wszystko, co pokazali w tym filmie, ma pokrycie w źródłach. Ale choć ich do tego wzywano, nigdy nie pokazali źródła, w którym byłaby mowa o takim akurat wydarzeniu.

A to tylko jedna scena. Powiedzieć, że serial ten – sprzedany z sukcesem przez ZDF do ponad 80 krajów świata – zacierał różnice między niemieckimi oprawcami a polskimi ofiarami, to jeszcze niewiele powiedzieć.

Pokazany w niemieckiej telewizji publicznej dwa lata później film „Miasto 44” (wyemitowany pod tytułem „Warschau '44”) – jako polska odpowiedź na niemieckie przekłamania o polskim ruchu oporu – nie spotkał się w Niemczech z zainteresowaniem. Choć premiera została nagłośniona i towarzyszyło jej dużo historycznych dokumentów, to tamtego wieczoru Niemcy chętniej oglądali popularny niemiecki serial kryminalny „Tatort”. Film Jana Komasy obejrzało w ZDF 1,06 mln widzów, podczas gdy wcześniej ostatni z trzech odcinków kontrowersyjnego serialu „Nasze matki, nasi ojcowie” aż 7,6 mln. Polakom znowu nie udało się przebić do Niemców ze swoją narracją.

### Historia i bezpieczeństwo

Natomiast do niewątpliwych sukcesów polsko-niemieckich rozmów o historii należy zaliczyć podręcznik „Europa. Nasza historia” – efekt pracy Wspólnej Polsko-Niemieckiej Komisji Podręcznikowej.

W grudniu 2007 r. ministrowie spraw zagranicznych Polski i Niemiec poparli ideę powstania takiej pomocy naukowej. Ostatecznie wydano cztery podręczniki do historii dla uczniów w wieku 10-16 lat. Obie wersje językowe są identyczne pod względem treści i szaty graficznej. Ostatni tom pt. „Od wybuchu II wojny światowej

do czasów współczesnych” ukazał się w lipcu 2020 r. Niestety trudno ocenić, ile dokładnie szkół korzysta z tych książek.

Podręcznik do historii uwzględniający polską wiedzę i wrażliwość historyczną jest tym ważniejszy, że większa wiedza o historii Polski za Odrą działa na naszą korzyść także w kontekście międzynarodowym.

– Świadomość historyczna Niemców dotycząca II wojny światowej jest istotna, gdyż rzutuje także na relacje Niemiec z Rosją – uważa Justyna Gotkowska, koordynatorka programu bezpieczeństwa regionalnego w Ośrodku Studiów Wschodnich (istniejący od 1990 r., Ośrodek jest jedną z najważniejszych w Polsce instytucji analitycznych, z którego pracy korzystają kolejne rządy).

– To Rosja bowiem, jak żadne inne państwo okupowane przez nazistowskie Niemcy, jest postrzegana jako główna ofiara niemieckiego terroru w trakcie II wojny światowej. Przez lata przyczyniało się to do niechęci wobec większego zaangażowania się Republiki Federalnej w politykę obrony i odstraszenia NATO na wschodniej flance – dodaje Gotkowska. – Wzrost świadomości historycznej Niemców byłby dodatkowym czynnikiem, przyczyniającym się do koniecznych przekształceń niemieckiej polityki bezpieczeństwa [o kwestii Ostpolitik pisze w tym dodatku Gerhard Gnauck – red.].

### Trochę więcej empatii

Czy jest szansa na przezwyciężenie historycznych napięć w relacjach polsko-niemieckich?

Mimo wszystko, Waldemar Czachur jest optymistą: – Klasyczne tematy kontrowersyjne zostały już w dużej mierze przerobione, odpowiednio zauważone w kraju sąsiada, wpłynęły do obiegu medialnego oraz politycznego i dzięki temu nasze sąsiedztwo jest mocniejsze, bogatsze – zauważa. – A z polskiej perspektywy jest ważne, że poszerzyło to niemiecką empatię dla polskiego punktu widzenia. © ANNA PRZYBYLL

*Autorka (ur. 1984) jest doktorantką w Zakładzie Studiów nad Niemcami ISP PAN. Pracowała m.in. w dzienniku „Polska The Times”.*



SEAN GALLUP / GETTY IMAGES

Nord Stream 2 stał się symbolem relacji niemiecko-rosyjskich. Na zdjęciu: montaż gazociągu Eugal, będącego częścią Nord Stream 2, w pobliżu miejscowości Damerow. Niemcy, 26 marca 2019 r.

# Tam, gdzie Ludmiła Putinowa zbierała truskawki

GERHARD GNAUCK

**Polacy i Niemcy wciąż różnią się w postrzeganiu Rosji – nawet jeśli ostatnio i tak się do siebie w tej sprawie zbliżyli.**

**T**ej jesieni, dokładnie 30 lat po zjednoczeniu Niemiec, miałem okazję wziąć udział w kilkudniowej wycieczce zorganizowanej przez biuro podróży z Drezna. Większość uczestników to byli Niemcy ze wschodnich landów (dawnej NRD); sądząc po kosztach wycieczki, nie najbiedniejsi. Sam wychowałem się w Niemczech Zachodnich, ale moi rodzice i przez to cała rodzina od lat 70. XX w. miała, jak mówiliśmy, oczy zwrócone na wschód: na Europę Środkowo-Wschodnią, na Związek Sowiecki.

Towarzystwo na wycieczce, 50- i 60-latkowie, było sympatyczne. Ale prędzej czy

później pojawiła się polityka, zaczynając od krytycznych uwag na temat „przejęcia” NRD przez kapitał zachodni i traktowania jej mieszkańców jako obywateli drugiej kategorii. Jako Niemiec z zachodu, czyli *Wessi*, a do tego dziennikarz, nasłuchiwałem się krytycznych uwag („Czy media mówią prawdę?”, „Dlaczego opisywanie nas nieprawdziwie?”).

Szczególnie ciekawe były rozmowy o Rosji i NATO. Towarzyszka podróży – dawniej w branży rolniczej, teraz w ubezpieczeniach – pytała: „Po co NATO robi manewry w Polsce?”. Odparłem, że NATO ćwiczy w Polsce, odkąd Rosja wysłała swoich ludzi na wschodnią Ukrainę. →

→ Dodałem, że wydaje mi się, iż Niemcy wprawdzie są w NATO, ale niektórzy Niemcy wschodni sercem jakby nie byli w Sojuszu. Usłyszałem gremialnie: „A niby dlaczego mielibyśmy być?”. Były oficer armii NRD (teraz w ubezpieczeniach) dodał: „Po 1989 r. nie chciałem odwrócić lufy karabinu o 180 stopni i poszedłem do cywila”.

Dowiedziałem się też ciekawych szczegółów o przyjaźni niemiecko-sowieckiej. Pani z branży rolniczej wspominała, jak to „Ludmiła Putinowa pomagała nam zbierać truskawki”. Wprawdzie, jak mówiła, żony sowieckich oficerów stacjonujących w NRD nie mogły pracować, ale od czasu do czasu podjeżdżał pod jej zakład autokar z kobietami, które chciały sobie dorobić. Wśród nich miała być ówczesna żona Władimira Putina, stacjonującego w Dreźnie oficera KGB.

Inny towarzysz podróży, muzealnik, twierdził, że Putin postawił Rosję na nogi, że ten kraj potrzebuje silnej ręki, że „zwykły Rosjanin miłuje pokój”, i że w swej historii Rosja prowadziła wyłącznie wojny obronne.

### Mieszanka sprzecznych emocji

Pamięć zbiorowa Niemców z byłej NRD jest specyficzna – niepodobna ani do zachodniemieckiej, ani do polskiej. Niewątpliwie, co pokazują też sondaże, sentyment wobec Rosji i Rosjan, a także wyrozumiałość wobec autorytaryzmu rosyjskiej polityki są w Niemczech wschodnich większe niż w zachodnich. Ale niektóre z cytowanych opinii można usłyszeć także na zachód od dawnej granicy NRD-RFN.

Tak czy owak, po tym wstępie spójrzmy na Niemcy jako całość. O ich stosunku do Związku Sowieckiego, a dziś do Rosji stanowi w ostatnich dekadach mieszanka wyjątkowo sprzecznych emocji. Jest tu poczucie winy (wstydu, odpowiedzialności) za niemieckie zbrodnie na terenie Związku Sowieckiego podczas II wojny światowej. Jest też lęk: to w końcu „oni” wygrali tę wojnę, przy czym niemiecką ludność cywilną traktowali nieporównanie gorzej niż alianci zachodni. Do tego Stalin wymusił amputację jednej czwartej terytorium Niemiec. Później był lęk z powodu siły i – jak sądzono – nieobliczalności Moskwy, dysponującej arsenałem jądrowym. A potem pojawiła się też wdzięczność: Gorbaczow



Aleksiej Nawalny z żoną Julią w berlińskim szpitalu, 15 września 2020 r.

nie sprzeciwił się ani zburzeniu muru berlińskiego, ani demokratyzacji NRD, ani zjednoczeniu Niemiec. A poza tym były tu (i częściowo są) elementy jakiejś atrakcyjności ideologicznej i politycznej (socjalizm, alternatywa do „zimnego” kapitalizmu, przeciwwaga do Ameryki), no i poczucie różnorodności „więzi historycznych” oraz „bliskości kulturowej”.

Jednym słowem: wina plus strach plus wdzięczność plus zauroczenie ideologiczne i kulturowe – niezwykle koktajl emocji. Niestety, bardzo powoli do wyobraźni Niemców dociera fakt, że pod niemiecką okupacją Związku Sowieckiego ucierpiała przede wszystkim Białoruś i Ukraina oraz że związane z tym poczucie winy i odpowiedzialności powinno być skierowane zwłaszcza wobec Białorusinów i Ukraińców.

### Pierwsi do rozmów

Dochodzą do tego oczywiście polityka i gospodarka.

Już w 1963 r. ówczesny burmistrz Berlina Zachodniego Willy Brandt oraz jego zaufany współpracownik Egon Bahr sformułowali cel *Wandel durch Annäherung*, czyli „zmiana poprzez zbliżenie” (zbliżenie obu bloków, a zwłaszcza obu części Niemiec). Mieli na uwadze trudną sytuację wyspy, którą stał się Berlin Zachodni po tym, jak w 1961 r. władze NRD otoczyły go murem, a także sytuację podzielonego narodu – i podzielonego konty-

nentu. Powoływali się przy tym na kielkujące wtedy odprężenie między Waszyngtonem a Moskwą, z udziałem Kennedy’ego i Chruszczowa.

W czasach, które nazywamy erą „polityki odprężenia” (niem. *Entspannungspolitik*) oraz „nowej polityki wschodniej” (niem. *neue Ostpolitik*), czyli w latach 70., Willy Brandt (już jako kanclerz) i jego następca Helmut Schmidt próbowali łagodzić skutki II wojny światowej i zimnej wojny poprzez uznanie niemieckiej winy, istnienia dwóch bloków oraz terytorialnego *status quo* – czyli uznanie utraty ziem niemieckich na wschodzie i podziaku kraju na dwa państwa. Starano się też o ułatwienia humanitarne.

Ku rozczarowaniu władz PRL, politycy w Bonn nie ukrywali przy tym, że pierwszym partnerem do rozmów na wschodzie jest dla nich Moskwa, zgodnie z hierarchią panującą w bloku wschodnim. Ale symbol tej polityki jest jednak związany z Warszawą: to ukłęknięcie kanclerza Brandta przed pomnikiem Bohaterów Getta (w kwestii, na ile był to gest pokuty, gest polsko-niemiecki czy też adresowany do Żydów i Izraela, odsyłam do książki Thomasa Brechenmachera i Michaela Wolffsohna „Denkmalsturz? Brandts Kniefall” z 2005 r.).

Prawie równocześnie, bo od 1969 r., nastąpiło zbliżenie gospodarcze. Pierwsze wielkie umowy Bonn–Moskwa (zawarte przy udziale Austrii) przewidywały dostawy niemieckich części do rosyjskich rurociągów, które miały być – i następnie były – opłacane dostawami rosyjskiego gazu.

### Partner przeceniany

Po przełomie lat 1989-91 starano się o zwiększenie współpracy gospodarczej. O ile więc przy rozszerzaniu NATO na wschód nie uwzględniano życzeń Moskwy, o tyle w sprawie gazociągów Nord Stream 1 i Nord Stream 2 – już tak. W ten sposób mamy sytuację, gdy Rosja jest – już od kilku lat – największym dostawcą gazu, ropy i paliw stałych, i to zarówno dla Niemiec, jak też dla całej Unii Europejskiej. A lobbyści Nord Stream dalej trąbią, że budowa kolejnych rur po dnie Bałtyku służy dywersyfikacji źródeł energii dla Niemiec. Niestety, tutejsze media i politycy długo wierzyli w to kłamstwo.

Kilka dużych projektów prowadzonych z Rosją i powszechna wiara

w „wielkość” tego kraju doprowadziły do tego, że w Niemczech często przeceńniano się wagę rosyjskiego partnera. Tymczasem już w latach 2009-2010 wartość handlu niemiecko-rosyjskiego była podobna do tej handlu niemiecko-czeskiego. Po 2014 r., za sprawą spadających cen ropy i gazu oraz sankcji, Rosja znalazła się dopiero na miejscu 13. na liście partnerów Niemiec w handlu zagranicznym (w 2019 r. miał on wartość 58 mld euro). Cechy były na 10., Polska zaś wspięła się na 6. miejsce (123 mld euro); w tym roku prawdopodobnie przegoni jeszcze Włochy.

Jednak w swojej kluczowej branży, surowcowej, Rosjanie trzymają się mocno, także jako inwestorzy. W Niemczech długo nikt nie dostrzegł (lub nie chciał dostrzec) strategicznego znaczenia tej sytuacji. Doszło do tego, że właścicielem dwóch największych magazynów gazu w Europie Zachodniej – w niemieckim Rehden i austriackim Haidach – jest Gazprom (a jak można przeczytać na stronie jego spółki-córki, Astora, moce magazynowe są rozbudowywane).

### Na rozstaju dróg

Długo nic nie wskazywało, że budowa Nord Stream 2 może być zagrożona. Aż gruchnęła wieść o otruciu najbardziej znanego rosyjskiego opozycjonisty. Aleksiej Nawalny trafił do berlińskiej kliniki Charité. Po leczeniu i wybudzeniu go ze śpiączki spotkała się z nim, prywatnie, kanclerz Angela Merkel.

Równocześnie w Niemczech rozgorzała debata o Rosji, najostrzejsza od kilku dekad. O ile wcześniej nic nie zdołało zachwiać niemieckiego przekonania, że Rosja to stabilny dostawca energii i wiarygodny partner (nawet rosyjsko-ukraińskie zimowe „wojny gazowe”, w roku 2006 i 2009), o tyle stało się tak po próbie otrucia Nawalnego. Mam wrażenie, że argument moralny i prawny – państwo, w którym dochodzi do zamachów na czołowych krytyków władz, czyli Niemcowa i Nawalnego, nie może być wiarygodnym partnerem – przemówił do Niemców bardziej niż uwaga, że „za sprawą Nord Stream 2 Ukraina straci dochody z tranzytu gazu” (ten argument przeciw rurociągowi przywoływano wcześniej w wielu niemieckich mediach jako jedyny).

Teraz sprawa Nawalnego, której towarzyszyło miażdżenie protestów na Biał-

rusi, stała się dla niemieckich polityków i mediów okazją, aby przypomnieć listę rosyjskich przewinień z ostatnich lat. To przede wszystkim Krym i Donbas. Ale, jeśli idzie o same Niemcy, to także potężny atak (najpewniej) rosyjskich hakerów na Bundestag w 2015 r. (gdy wówczas temat ten poruszyła posłanka Zielonych Marie-Luise Beck, prawie nikt się nim nie zainteresował). To także zabójstwo weterana wojen czecheńskich w berlińskim parku Tiergarten, według niemieckiej prokuratury zlecone przez rosyjskie służby specjalne (proces mordercy toczy się w Berlinie od 7 października).

W wielu mediach pisze się, że relacje niemiecko-rosyjskie są dziś na rozstaju dróg. Stało się coś, co pewien rosyjski ekspert od stosunków międzynarodowych opisał krótko: „Tracimy Niemców”. Państwo Putina traci Niemców jako partnerów i jako tych, którzy je empatycznie rozumieją lepiej niż ktokolwiek inny w zachodniej części świata.

Ale niekoniecznie jako partnerów gospodarczych. Rząd w Berlinie uważa, że mimo wszystko należy dokończyć Nord Stream 2. Bronić takiego stanowiska będzie mu teraz łatwiej, bo znika ważny czynnik: Donald Trump, którego działania przeciw Nord Stream 2 przybrały nawet formę pogroźek wobec niemieckiego, bądź co bądź, sojusznika (w sumie była to niedźwiedzia przysługa dla jedności Zachodu).

Co dalej, zobaczymy. Jak już widzieliśmy, komponent gazowy ma w *Ostpolitik* długą tradycję.

### Kto jest realistą

Oczywiście, typ *Putin-Versteher* (to neologizm: ironiczne określenie kogoś, kto jest gotów zawsze tłumaczyć putinowską Rosję i wszystko jej wybaczać) nie zniknie. Tacy ludzie są w kołach gospodarczych czy w świecie piłki nożnej. Są nawet wśród przywódców Kościoła ewangelickiego. Przejrzałem wszystkie wypowiedzi z lat 2014-15 zamieszczone na stronie internetowej władz tego Kościoła. Można dojść do wniosku, że jest to bardzo „polityczny” Kościół, którego biskupi wypowiadają się na temat problemów całego świata, od Ameryki Łacińskiej przez Jemen po Azję. Tymczasem na wydarzenia w Rosji i u jej sąsiadów nasz Kościół ewangelicki był ślepy i głuchy (no, chyba że chodziło o spór o kapłaństwo kobiet u ewangelików na Łotwie).

Polacy, Ukraińcy, Litwini, Estońscy, Gruzini – oni wszyscy rozumieją Rosję inaczej. Śmiem twierdzić, że bardziej realistycznie niż Niemcy.

Kiedyś istniał mechanizm polsko-niemieckich konsultacji na temat polityki wschodniej, na szczeblu MSZ obu państw. Latem 2014 r. podsekretarz stanu Katarzyna Pełczyńska-Nałęcz, uczestniczka tych rozmów, tak streszczała mi polski punkt widzenia: „Ponieważ reżim w Rosji dziś jest taki, jaki jest, będzie szedł tylko ku gorszemu. Trzeba go zatrzymać teraz, nawet jeśli przyjdzie płacić za to cenę w sensie gospodarczym. Jednak Niemcy – nawet w temacie agresji Rosji przeciwko Ukrainie – nadal widzą »pole do dialogu«. Ale nie ma takiego pola, albo jest bardzo małe. Dialog nie jest celem samym w sobie”.

W ten sposób Niemcy i Polacy wciąż różnią się w postrzeganiu Rosji – choć ostatnio i tak się do siebie w tej kwestii zbliżyli.

### W cieniu historii

Od czasów cara Piotra I istniały dwa sposoby reagowania na wyzwanie, które przedstawiała sobą Rosja. Historyk Martin Schulze Wessel pisał niedawno na łamach „Frankfurter Allgemeine Zeitung”, że były to „brytyjskie powstrzymywanie (*containment*) oraz prusko-rosyjskie szczególne relacje, których stałym elementem był obopólny interes polegający na wspólnym podbiciu Polski”. Autor spuentował swój tekst słowami: „Obstając przy Nord Stream 2, Niemcy bezrefleksyjnie idą dawną drogą owych szczególnych relacji, których elementem jest ignorowanie interesów krajów i narodów Europy Środkowo-Wschodniej. W ten sposób nigdy nie uda się osiągnąć celu, jakim jest dla Berlina uwspólnotowanie polityki zagranicznej w ramach Unii Europejskiej”.

© GERHARD GNAUCK

Korzystałem m.in. z tekstu historyka Manfreda Wilkego „Vor 50 Jahren: Die neue Ostpolitik der Bundesrepublik und der Moskauer Vertrag 1970” (dostępnego na stronie: [www.bpb.de/312612](http://www.bpb.de/312612)).

*Autor (ur. 1964) jest historykiem i politologiem, korespondentem dziennika „Frankfurter Allgemeine Zeitung” w Warszawie. Po polsku ukazała się jego książka „Marcel Reich-Ranicki. Polskie lata”.*



Coroczny polsko-niemiecki festyn Bunter Hering (Kolorowy Śledź). Słubice–Frankfurt nad Odrą, 6 lipca 2016 r.

PATRICK PLEUL / DPA / PAP

## Pierwszy świat, drugi świat

NANCY WALDMANN, ŁUKASZ GRAJEWSKI

**Czy stosunki polsko-niemieckie wciąż są postkolonialne? Tak uważa dwoje naszych autorów młodszego pokolenia.**

Jesteśmy dwojgiem dziennikarzy, z Polski i Niemiec, mamy po trzydzieści kilka lat. Pracujemy na polsko-niemieckim pograniczu – tym geograficznym, wzdłuż Odry i Nysy, oraz tym intelektualnym. Postanowiliśmy napisać ten wspólny tekst po tym, jak na spontanicznym spotkaniu – i bez żadnych założeń wstępnych – zauważyliśmy, że w oparciu o nasze doświadczenia zwracamy uwagę na podobne problemy w relacjach polsko-niemieckich. A zwłaszcza na elitarność tej relacji, sprawiającą, że skrywane animozje i poczucie nierówności często są wypierane.

**WALDMANN: DWUMIASTO**

Mieszkam w dwumieście, bo tak można nazwać Frankfurt nad Odrą i Słubice. Jestem dumna z tego, że żyję w miejscu, gdzie kończą się dwa państwa narodowe, a na ich peryferiach powstaje coś nowego, hybrydowego. Nie chciałabym mieszkać tylko po jednej czy drugiej stronie Odry. Moje miasto to Frankfurt i Słubice.

Pierwszy raz przybyłam tu 16 lat temu. Od tego czasu zniknęło ogromne przejście graniczne, a widok na most łączący obie części stał się dzięki temu wyraźny. Między Frankfurtem i Słubicami kursuje wspólnie obsługiwany auto-

bus. Wielu Polaków zdążyło przeprowadzić się do Frankfurtu. Tworzą się polsko-niemieckie rodziny. Wśród Niemców zanika stereotyp Polaków-złodziei. W końcu trudniej o stereotypy, gdy polskich kolegów spotyka się codziennie w miejscu pracy.

Jednak wciąż są obszary, które wskazują, jak bardzo asymetryczne są stosunki po obu stronach dwumieścia. Wystarczy posłuchać Niemców, którzy udają się do Słubic na zakupy. Od lat, ba, od dekad przybywają tu, by zaopatrzyć się w tańsze papierosy, ale jakoś nie przyszło im do głowy, by nauczyć

się po polsku „dzień dobry” lub „dziękuję”. Dla nich bycie obywatelem dwumieścia oznacza egzekwowanie swoich praw jako konsumentów.

Pod ich potrzeby urządzono sam wjazd do Słubic od strony niemieckiej. Po zejściu z mostu opuszcza się sterylny krajobraz Frankfurtu i wkracza do obklejonego reklamowymi banerami nieładu architektonicznego, któremu przyświeca jeden cel: zachęcić przybyszów do zakupów. Kilkaset metrów dalej, w centrum Słubic, pojawia się już inna estetyka, są gustownie urządzone lokale, restauracje. Ale wcześniej, przy moście, mamy reprodukcję obowiązujących od dekad stereotypów – po to, aby obie strony mogły się łatwo porozumieć. Przyjeżdża się tu nie po turystyczne wrażenia czy kulturowe wzbogacenie, lecz po sztangę papierosów i alkohol.

Ważnym punktem na mapie dwumieścia jest więc bazar, który Niemcy nazywają Polskim Targiem (Polenmarkt). Wiele razy wieszczono mu już rychłą śmierć, za pierwszym razem z chwilą wejścia Polski do Unii Europejskiej w 2004 r. Wbrew temu istnieje i ma się dobrze. W większości nie odwiedzają go mieszkańcy Frankfurtu, lecz raczej ludzie z Berlina, Magdeburga czy nawet Brunshwiku, położonego w centrum Niemiec.

To miejsce tworzone zwłaszcza dla Niemców z byłej NRD, zubożałej klasy średniej i ludzi żyjących z zasiłków socjalnych. Przyjeżdżają, aby zjeść bigos i wypić parę piw, aby najeść się w nadmiarze, „bo tanio”; atmosferę umilają tandetne niemieckie szlagiery. Można tu kupić głównie podróbki ubrań i torebek znanych marek. Są też koszulki z hasłami dla lokalnych patriotów ze wschodnich Niemiec i dla prawicowych ekstremistów, np. z nazwami neonazistowskich zespołów, w Niemczech zakazanych. Do tego noże, wiatrówki, odżywki i lewa viagra. Polski Targ w Słubicach to park konsumpcji i rozrywki dla niemieckiego proletariatu.

Można by zapytać: i w czym problem? Polscy handlowcy zyskują, niemieccy klienci pomagają Słubicom i regionowi przygranicznemu sięgać po upragniony dobrobyt. Niektórzy handlowcy żyją zresztą lepiej niż ich niemieccy klienci. Słubiccy kupcy mówią mi, że to tutaj, na bazarze, a nie wśród polityków, którzy rzucają frazesy o Europie, powstała prawdziwa przyjaźń polsko-niemiecka.

Na dowód wymieniają swych długoletnich klientów, znają ich rodzinne losy.

Ale czy na pewno można mówić o przyjaźni? Gdy obserwuję codzienne spotkania na bazarze, widzę raczej relacje obsługiwanych i służących. I to Niemcy, nawet ta zubożała grupa odwiedzająca targowisko, zawsze są tymi, których się obsługuje. Nie ma mowy o odwracaniu ról. Niemieccy klienci nie znają języka sprzedawców. „Przecież Polacy mówią po niemiecku” – usprawiedliwiają się. Dlaczego też mieliby się interesować ich życiem?

**GRAJEWSKI: RELACJE**

Pogranicze polsko-niemieckie boryka się z o wiele szerszą paletą problemów, których geneza tkwi w sieci nierówności. Wprawdzie można postawić tezę, że kłopoty są też na innych pograniczach – polsko-czeskim czy polsko-ukraińskim – ale tam przynajmniej nie zaklina się rzeczywistości tezą, że mamy do czynienia z wyjątkowo udaną dobrosąsiedzką relacją.

Rzekomo świetne i wyjątkowe oblicze pogranicza – to konik lokalnych i regionalnych polityków po obu stronach Odry. W rzeczywistości codzienne relacje są dość proste do opisanie: Polacy jeżdżą do Niemiec pracować, Niemcy do Polski jeżdżą na zakupy albo coś zjeść. Oba procesy wynikają jasno z przewagi niemieckiej gospodarki i waluty nad polską.

Dopiero od paru lat – po tym, jak przeprowadziłem się do Lipska – zacząłem częściej odwiedzać pogranicze polsko-niemieckie. Jedną z licznych miejscowości, do których udało mi się dotrzeć, jest Słobsk (15 km od Kostrzyna). Przed wojną Sonnenburg był dobrze radzącym sobie miasteczkiem z długą listą lokalnych kupców i przedsiębiorców. Był też celem turystów z Berlina, którzy zjeżdżali tu bezpośrednim pociągiem. Czekala na nich wypożyczalnia samochodów i rowarów. Pojazdy były potrzebne, żeby dotrzeć nad Radacher See, jak wtedy nazywało się Jezioro Radachowskie. Oprócz chłodnej wody atrakcją była restauracja postawiona na palach przy brzegu. W środku wstawiono duże akwarium z rybami z jeziora i goście mogli sami dokonać wyboru, co chcą zjeść na obiad. Dziś nie ma stacji kolejowej, nie ma wypożyczalni, nie ma restauracji i nie ma urlopowiczów. Z wód jeziora wystają resztki drewnianej konstrukcji, na której stała re-

stauracja. Brzeg mocno zarósł i tylko niewielki jego kawałek służy za dzikie pole kempingowe.

Sam Słobsk też mocno podupadł. Jednym z symboli tego procesu jest zamek zakonny joannitów. Okazała budowla przetrwała w stanie nienaruszonym II wojnę światową. W czasach PRL-u zamek rozgrabiono i pozostawiono bez opieki – jako niechcianą, obcą pozostałość po Niemcach. Do dziś zachowały się ruiny.

Zaniedbania z polskiej strony pogranicza wynikają z dekad niepewności ludzi, których osiedlano na tych terenach. O nowe „swoje” nie dbali, bo aż do 1990 r. nie byli nawet pewni, czy w ogóle będą mogli tu zostać. Ale także dziś, trzy dekady później, niemiecką spuściznę odkrywają i chronią głównie grupy pasjonatów. Mieszkańcom trudno narzucić szacunek dla czegoś, co wciąż w głowach po części pozostaje obce.

Podczas podróży po pograniczu wielokrotnie spotykałem niemieckich turystów. „To takie ważne: odkrywać kraj sąsiada” – ta fraza, często powtarzana, brzmiała mi zawsze sztampowo, jak jakaś formułka, którą napotkani czuli się zobowiązani wypowiedzieć. Chciałbym poznać ich prawdziwe myśli, gdy krążą po ponemieckich włościach. Czy nie są źli, że tyle dziedzictwa kulturowego obróciło się w ruinę po zmianie gospodarzy?

Nieufność wciąż jest wpisana w relacje pogranicza. Podczas kilkudniowego pobytu w Szczecinie wyczuwałem wrogość Polaków do niemieckich turystów, np. wśród sprzedawców lub kelnerów. W szczecińskiej filharmonii na sali koncertowej usadowili się głównie niemieccy renciści, którzy przyjechali busami z pobliskich miejscowości. Z jednej strony: sukces, strefa Schengen w praktyce, europejskie marzenie. Z drugiej: poczucie, że to trochę jak z tym jeżdżeniem po tanie papierosy do Słubic. Konsumenci, tym razem kultury wyższej, wybierają Szczecin, bo koncerty muzyki klasycznej są po polskiej stronie dużo tańsze. A po uczcie dla uszu można wsiąść do autobusu i wrócić do siebie.

**WALDMANN: PAMIĘĆ**

Są Niemcy, którzy zupełnie inaczej przygotowują się do podróży do Polski. Część niemieckich wypędzonych – ludzi, którzy korzenie mają za Odrą i Nysą – niewiele ma wspólnego z prawicowo-rewizjonistycznym Związkiem Wypędzonych. →



→ Przykładem Grupa Robocza Landsberg Warthe / Gorzów, która przez długie lata prowadziła swój własny proces pojednania z polskim Gorzowem Wielkopolskim – zastąpił on ich była małą ojczyzną (dziś Grupa już nie istnieje: została rozwiązana z uwagi na malejącą liczbę członków i zaawansowany wiek tych, którzy zostali).

W przeszłości odbyłam kilkanaście podróży z Niemcami do ich dawnych małych ojczyzn: na Mazury, Śląsk czy do Nowej Marchii [obejmowała ziemię lubuską oraz pogranicze z Wielkopolską i Pomorzem Zachodnim – red.]. Nie były to podróże grupowe. Częścią naszego projektu „Heimatreise”, opracowanego we Frankfurcie, była reguła, że podróże te będą odbywać się indywidualnie. Gdy było to tylko możliwe, staraliśmy się z wyprzedzeniem uprzedzić mieszkańców domu o planowanej wizycie. Celem było doprowadzenie do rozmów byłych i obecnych mieszkańców. Sama tłumaczyłam i moderowałam te spotkania. Efekty były często zaskakująco pozytywne. W dużym stopniu dzięki tradycyjnej polskiej gościnności, którą okazywali gospodarze.

Niemcy porównywali swoje wspomnienia z teraźniejszością, opowiadali o rodzinach, o tym, co zdołali zapamiętać z czasu ucieczki. Z kolei polscy gospodarze opowiadali, skąd pochodziły ich rodziny – przecież najczęściej sami też byli wygnańcami. Mimo to trudno było podczas tych rozmów skierować uwagę na ich historię. Wynikało to nie tylko z logiki miejsca, które w naturalny sposób niosło ze sobą bardzo emocjonalne wspomnienia dla przybyszów z Niemiec. Niemcy nie potrafili umieścić rodzinnych historii Polaków w znanym im historycznym kontekście. Nie mieli pojęcia, gdzie są polskie Kresy, nie wiedzieli o deportacjach Polaków podczas II wojny światowej i po niej.

Trudno obwiniać pojedyncze osoby o brak wiedzy. Sama w szkole dowiedziałam się wiele o dyktaturze narodowosocjalistycznej, o II wojnie światowej i Holokaucie, ale prawie nic o tym, w jaki sposób okupacja dotknęła niezydowskich Polaków. Dla wielu Niemców refleksja nad Polską i historią II wojny światowej kończy się na ludobójstwie Żydów. Dla części, zwłaszcza dla niemieckiej lewicy, oznacza ona też, jak mówią, „szczególną odpowiedzialność wobec Rosji”. Ale nie

■ Niemcy pozostają dla Polaków źródłem frustracji. Na wojenne rany nakładają się rozczarowania posttransformacyjne.

szczególną odpowiedzialność wobec Polski, która była kolonizowana już w czasach pruskich.

Bardzo niewielu Niemców potrafi odróżnić powstanie warszawskie od powstania w getcie warszawskim. Natomiast niespodziewanie wielu ma dobre wyrobione zdanie na temat polskiego antysemityzmu. Bohaterowie ruchu oporu, jak Witold Pilecki, są mało znani w Niemczech, podobnie jak rodzina Ulmów i inni Polacy, którzy w czasie niemieckiej okupacji ukrywali Żydów, za co płacili życiem. Nie znają ich – i to jest porażka nie tylko niemieckiej, lecz także polskiej liberalnej polityki pojednania prowadzonej po 1989 r. Dopiero rząd Prawa i Sprawiedliwości zajął się tymi postaciami i zaczął rozpozszechniać ich życiorysy w ramach własnej polityki historycznej, której istotą jest promowanie polskiego męstwa i patriotyzmu.

Bundestag podjął niedawno decyzję o utworzeniu w Berlinie centrum dokumentacji na temat okupacji hitlerowskiej w Europie. Pomysł ten jest konsekwencją konsensu wśród niemieckich elit politycznych co do faktu, że w kulturze pamięci wciąż są duże luki do uzupełnienia. Bundestag zdecydował też, że w stolicy Niemiec powstanie miejsce pamięci polskich ofiar II wojny światowej.

Czy to wystarczy, aby nadrobić zaniebdania? Czy nie powinna temu towarzyszyć debata na temat wypłat odszkodowań? Kolejne rządy niemieckie mówią, że ta sprawa została już „rozliczona”, co zamyka nawet możliwość rozpoczęcia wspólnej debaty na ten temat. Otwarte negocjacje w sprawie odszkodowań spowodowałyby, że publiczna debata nad niemieckimi zbrodniami w okupowanej Polsce stałaby się żywa i dotarłaby do dużej grupy ludzi.

#### WALDMANN: ASYMETRIA...

Problemu asymetrii w stosunkach polsko-niemieckich nie dotyka proces, który zwykliśmy nazywać pojednaniem polsko-niemieckim, gdyż to od początku aż po dziś dzień prowadzone było i jest na poziomie elit. List biskupów polskich z 1965 r. nie jest w Niemczech szerzej znany. Natomiast w Polsce przesłanie „wybaczamy i prosimy o wybaczenie”, jeśli już dotarło do zwykłych ludzi, to wywarło raczej sprzeciw niż akceptację. Dziś ten list sprzed 55 lat to historia: trudno traktować go jako ważny element współczesnych relacji polsko-niemieckich. Także dziś, w 2020 r., kościelni hierarchowie z Niemiec nie odgrywają znaczącej roli w kształtowaniu opinii publicznej. Również w Polsce ich głos gwałtownie traci na znaczeniu.

Przy okazji warto zastanowić się, dlaczego spośród wszelkich możliwych miejsc na symbol polsko-niemieckiego pojednania wyznaczono Krzyżową, a nie Warszawę, Wieluń albo Gdańsk? Prawdopodobnie dlatego, że Krzyżowa zrobiła wrażenie na niewielkiej grupie polskich intelektualistów. Z drugiej strony, Niemcy mogli w Krzyżowej przekonywać sami siebie, że niemieccy konserwatyści (jak rodzina von Moltke), w tym także wyżsi oficerowie Wehrmachtu, pozostali niezłomni i przyzwoici, i że to nie niemiecki konserwatyzm doprowadził Europę do ruiny, że w Niemczech, nawet w czasach III Rzeszy, nie wszystko było złe.

Krzyżowa nie miałaby może takiego znaczenia, gdyby nie słynne zdjęcie Tadeusza Mazowieckiego i Helmuta Kohla, na którym politycy padają sobie w ramiona. Niestety, to zdjęcie fałszuje stan rzeczy sprzed 30 lat. To był czas twardych negocjacji, które trudno uznać za proces pojednania. Toczące się w tych gremiach rozmowy nie miały dużo wspólnego z codziennym życiem, pełnym wzajemnych uprzedzeń. Jak już wskazywaliśmy, uprzedzenia te nie zniknęły także po podpisaniu traktatów o granicy (1990 r.) oraz o przyjaźni (1991 r.).

#### GRAJEWSKI: ...A POJEDNANIE

Jak daleko Polacy oddaleni są od myślenia życzeniowego polskich biskupów i ideałów środowiska Krzyżowej, unaocznily mi trzy rozmowy, które odbyłem niedawno, w październiku. Podczas jednej napomknąłem, że przeprowa-

dziłem wywiad o zjednoczeniu Niemiec. „A zapytałeś rozmówcę, czy miał dziadka w NSDAP?” – usłyszałem komentarz znajomego Polaka. Kolejna rozmowa, tym razem prowadzona wirtualnie na grupie, na jednym z komunikatorów. „W Niemczech na pewno mają jakieś sposoby na radzenie sobie z chorymi na koronawirusa. Pewnie jakiś obóz mają” – pisze ktoś. „Stosują cyklon B?” – dodaje ktoś inny. I trzeci przykład: opowiadam, że byłem w Monachium i odwiedziłem jedną ze starszych piwiarni, opisuję sale i piwo lane z drewnianej beczki. „Normalnie jak za Adolfa” – rozmówca przerywa mój wywód.

Rzecz jasna, w każdym przypadku wypowiedzi były ironiczne. Każda z cytowanych osób ma wyższe wykształcenie i liberalne poglądy. Żadna nie głosowała na PiS. A jednak nawet krótka wzmianka uruchamia od razu analogie do II wojny światowej.

#### GRAJEWSKI: FRUSTRACJA

Niemcy pozostają dla Polaków przede wszystkim źródłem frustracji. Na wciąż niezagojone rany z czasów II wojny światowej nakładają się rozczarowania posttransformacyjne. Polacy po 1989 r. rzucili się gonić Zachód i jego dogonienie jest od 30 lat ich głównym celem. Niemal jedynym punktem odniesienia w tym wysiłku (z racji geograficznych – odniesieniem naturalnym) jest zachodni sąsiad Polski.

Niemcy zaś, ze swoim dążeniem do bycia najlepszymi we wszelkich możliwych dziedzinach (co absolutnie nie jest zarzutem), a także z kapitałem zgromadzonym w czasie, gdy Polska była sowieckim satelitą, nawet po 30 latach pozostają na dużo wyższym poziomie we wszelkich mierzalnych kategoriach. Zarobki, programy socjalne, znane firmy, drużyny piłkarskie, ilość rowerów na ulicach itd. itp. Trudno znaleźć dziedzinę, gdzie coś polskiego ma

szansę konkurować z niemieckim odpowiednikiem. Również i to powoduje, że część polskiej klasy politycznej i społeczeństwa zaczyna wątpić w obronę 30 lat temu droge, widząc, że cel – dogonienie Zachodu, czyli Niemiec – mimo wielkich nakładów pracy wciąż jest tak oddalony.

Na rozładowanie tej frustracji nie wpływa również duża liczba Polaków mieszkających w Niemczech. Setki tysięcy obywateli PRL, którzy wyjechali do Niemiec Zachodnich, błyskawicznie się zasymilowały, wyrzekając się skutecznie polskiej tożsamości. Nowa wielka fala polskich migrantów do Niemiec zaczęła się po wejściu Polski do Unii, a przybrała na sile po 2011 r., gdy w Niemczech zniesiono ograniczenia dotyczące rynku pracy. Ci ludzie często nie trafiają w Niemczech do ziemi obiecanej, lecz do sektora najgorszych i najcięższych prac; nierzadko są wykorzystywani przez sieć pośredników i narażeni na nieuczciwe traktowanie przez pracodawców. Pozostają w dużej mierze obywatelami Unii drugiej kategorii.

#### WALDMANN, GRAJEWSKI:

##### POSTKOLONIALIZM

Wydaje się, że obecny polski rząd dobrze zdiagnozował źródła frustracji zwykłego Polaka, które wynikają z asymetrii stosunków polsko-niemieckich. Stąd sukces hasła „wstawania z kolan” oraz pewność, że każdy antyniemiecki materiał przygotowany przez media publiczne i prorządowe skutecznie pobudzi poczucie dziejowej niesprawiedliwości – i to nie tylko wśród twardego elektoratu PiS.

Dla nas, autorów tego tekstu, relacje polsko-niemieckie mają charakter postkolonialny. Do tego wniosku doszliśmy niezależnie od siebie, zanim jeszcze podczas jednego ze spotkań postanowiliśmy wspólnie napisać artykuł na ten temat.

Przyglądanie się relacjom polsko-niemieckim z tej perspektywy to trochę

wkraczanie na nieznane terytorium. Choć słowo „postkolonializm” pada często z ust polityków PiS i polskich publicystów, nie ma badań naukowych tego zjawiska w kontekście polsko-niemieckim. Zapytaliśmy o to przedstawiciele Instytutu Zachodniego w Poznaniu, Polskiego Centrum Germanistyki, Centrum Willy’ego Brandta we Wrocławiu i Niemieckiego Instytutu Historycznego w Warszawie – wszyscy bezradnie rozkładali ręce.

Zresztą sytuacja w Niemczech jest pod tym względem podobna. Już sam status takich dziedzin naukowych jak polonistyka w Niemczech wskazuje na mocno postkolonialny rys. Co do zasady, przedmioty te są podłączone pod sławistykę lub studia wschodnioeuropejskie. Oba kierunki są w Niemczech w większości mocno rusocentryczne, a polonistyka – choć to filologia dużego sąsiedniego kraju – do dziś, w odróżnieniu od germanistyki w Polsce, pozostaje egzotyką. Cała koncepcja postsowieckiej Europy Wschodniej, która zaczyna się nad Odrą i sięga po Kaukaz, jest co prawda coraz bardziej podawana w wątpliwość we wschodnioznawczym środowisku akademickim Niemiec, ale ma to niewielkie przełożenie na struktury obowiązujące w świecie nauki.

W niemieckiej percepcji Polska pozostaje więc częścią Wschodu, czymś w rodzaju Drugiego Świata.

© NANCY WALDMANN,  
ŁUKASZ GRAJEWSKI

*Autorka (ur. 1983) pracuje w dzienniku „Märkische Oderzeitung”, którego redakcja mieści się we Frankfurcie nad Odrą. Od lat zajmuje się tematyką pogranicza polsko-niemieckiego.*

*Autor (ur. 1985) specjalizuje się w tematyce niemieckiej, w przeszłości był korespondentem „Dziennika Gazety Prawnej” i PAP w Niemczech. Stale współpracuje z „TP”. Mieszka w Lipsku.*

DODATEK DO „TYGODNIKA POWSZECHNEGO” 47/2020

TYGODNIK  
POWSZECHNY

REDAKCJA: Wojciech Pięciak  
OKŁADKA: Marek Zalejski | TP TYPOGRAFIA: Andrzej Leśniak | FOTOEDYCJA: Edward Augustyn

WSPÓŁWYDAWCA:



PARTNERZY:



Wydano z finansowym wsparciem Fundacji Współpracy Polsko-Niemieckiej.  
Herausgegeben mit finanzieller Unterstützung der Stiftung für deutsch-polnische Zusammenarbeit

# Niemiecka gwarancja bezpieczeństwa Izraela

WOJCIECH PIĘCIAK

**Choć nie są do tego zobowiązane, Niemcy wspierają militarnie państwo żydowskie. Czy ten model może być wzorem dla Niemiec i Polski – zamiast reparacji?**

Początek tej historii datuje się prawdopodobnie na rok 1957. W każdym razie, jak ustalił kilka lat temu niemiecki historyk Hannes Pichler, wtedy do bawarskiego miasteczka Rott am Inn przybył *incognito* 34-letni Izraelczyk. Miał spotkać się tam z pewnym 42-letnim politykiem zachodnoniemieckim, w jego domu, gdyż sam fakt tego spotkania miał być utrzymany w ścisłej tajemnicy.

Szymon Peres, bo o nim mowa, odpowiadał wtedy w ministerstwie obrony Izraela za zakupy broni dla młodego państwa żydowskiego, od początku istnienia zagrożonego przez sąsiadów. Peres był młody, ale w tej materii już doświadczony: wcześniej zajmował się pozyskiwaniem broni dla Hagany, żydowskiej organizacji podziemnej, która po 1948 r. stała się załóżką armii nowego państwa. Teraz objeżdżał różne kraje, aby pozyskać broń dla swojej ojczyzny, w której przemysł zbrojeniowy dopiero miał się rozwinąć. A że w tamtych latach Izrael nie miał zbyt wielu sojuszników, Peres negocjował, prosił, czasem żebrał.

## „Pomagał, gdy potrzebowaliśmy”

Nie wiemy, czego po tym spotkaniu spodziewał się przyszły premier i prezydent Izraela. Ale możemy sądzić, że efekty przerosły jego oczekiwania. Gospodarz – był nim Franz Josef Strauss, wówczas minister obrony Niemiec Zachodnich (potem wieloletni premier landu Bawaria) – zrobił bowiem coś niezwykłego: od ręki zgodził się dostarczać Izraelowi sprzęt z zasobów Bundeswehry. Taki, który akurat był potrzebny – za darmo.

W praktyce wyglądało to tak, że w kolejnych latach niemieckie statki – transportujące przez ocean amerykań-

ską broń dla Bundeswehry (przemysł zbrojeniowy w RFN był dopiero kwestią przyszłości, powstała niedawno armia opierała się na sprzeczcie z USA) – zmieniały czasem kurs i zawijały nie do Hamburga, lecz do portów izraelskich. Tam wyładowywano czołgi, śmigłowce, radary, zestawy przeciwlotnicze, samoloty, amunicję, ciężarówki, części zamienne itd. itp. Izraelscy żołnierze, którzy mieli go obsługiwać, przechodzili szkolenie w RFN. Strauss „pomagał nam, gdy potrzebowaliśmy pomocy” – podsumował później Peres.

Wszystko odbywało się potajemnie (na szkolenia do Niemiec Izraelczycy przyjeżdżali po cywilnemu). Prowadząc tę operację, Strauss omijał bowiem budżet, w którym nie przewidziano takich wydatków, i łamał prawo RFN. Jego sekretarz prasowy Godel Rosenberg, który w maju tego roku przypomniał tę historię na łamach dziennika „Die Welt”, skonstatował, że gdyby informacja o pomocy dla Izraela przedostała się wtedy do opinii publicznej, „kariera pnącego się w górę polityka CSU z Monachium byłaby zakończona”.

Rosenberg twierdzi też, odwołując się do relacji byłych izraelskich wojskowych, że broń z niemieckich dostaw odegrała kluczową rolę podczas wojny sześciodniowej w 1967 r., zwycięskiej dla Izraela.

## Szczególne relacje

Zainicjowana przez Straussa współpraca w sferze obronności na specjalnych warunkach była potem kontynuowana i rozwijana. Z czasem przestała mieć charakter *quasi*-partyzancki, została formalnie usankcjonowana. Choć kolejne rządy w Bonn nie chwaliły się nią – całkiem rozsądnie, opinia sojusznika Izraela mogła mieć dla Niemiec Zachodnich różne

skutki. Zamach, który podczas olimpiady w 1972 r. przeprowadziła w Monachium grupa Palestyńczyków, pokazał, jak łatwo jest przenieść konflikt bliskowschodni do Europy.

Ani Strauss, ani kolejne rządy Niemiec (Zachodnich, a po 1990 r. zjednoczonych) nie robiły tego dlatego, że musiały. Nie zmuszały ich żadne okoliczności natury formalnoprawnej, żadne powinności reparacyjne czy inne. Był to ich wybór, wynikający z przekonania, że po tym, co Niemcy uczynili Żydom w czasach III Rzeszy, demokratyczne państwo niemieckie ponosi szczególną odpowiedzialność za bezpieczeństwo państwa żydowskiego. O ile więc w sferze eksportu broni rządu Niemiec kierowały i kierują się zasadą, że nie wydają zgody na jej dostawy w rejonie konfliktów, to nie stosowano jej wobec Izraela – choć między nim a jego arabskim otoczeniem konflikt trwa nieustająco (zmienia się tylko jego charakter).

W przypadku relacji niemiecko-izraelskich zastosowania nie znalazła jeszcze jedna zasada, którą kierował się rząd w Bonn, a potem w Berlinie: aby nie przykładać ręki do zbrojeń atomowych. Pierwsze decyzje, które utorowały do tego drogę, podjął kanclerz Helmut Kohl.

## „Niemiecka hańba”

U źródeł decyzji Kohla leżało to, co stało się jawne w styczniu 1991 r., a co tygodnik „Stern” nazwał „niemiecką hańbą”.

Był to moment, gdy międzynarodowa koalicja pod przywództwem USA, zrzeszająca też kraje arabskie, rozpoczęła operację „Pustynna Burza”. Jej celem było wywołanie przez Saddama Husajna jechanego przez Saddama Husajna. Gdy dyktator z Bagdadu nie zastosował się do ultimatum, alianci podjęli działania



Okręt podwodny INS „Rahav” przybył do portu w Hajfie. To jedna z pięciu takich jednostek, które Niemcy zbudowały – i częściowo sfinansowały – dla Izraela. 12 stycznia 2016 r.

zbrojne i szybko okazało się, że iracka armia przegrywa. Zdesperowany Husajn kazał ostrzelać izraelskie miasta rakietami balistycznymi Scud, przystosowanymi do przenoszenia broni chemicznej (Irak ją wówczas posiadał).

Izrael nie należał do koalicji, lecz Husajn kalkulował, że sprowokuje zbrojną ripostę, w reakcji na nią kraje arabskie zmienią strony, by nie znaleźć się w jednym szeregu z państwem żydowskim, i koalicja się rozpadnie. Izrael powstrzymał się od reakcji, choć syreny w miastach wyły, a ludzie biegli do schronów z maskami gazowymi w rękach.

Ostatecznie większość z kilkudziesięciu Scudów przechwycono, inne chybiły, a Husajn nie uzbroił ich w broń chemiczną. Ale przez chwilę należało się liczyć z taką możliwością. Tymczasem, jak ujawniły wtedy media, wśród licznych światowych kontrahentów, którzy wcześniej kooperowali z Irakiem, było kilkadziesiąt firm z RFN: pomagały m.in. w produkcji broni chemicznej i modernizacji Scudów, która zwiększała ich zasięg.

Stąd był już tylko krok do skojarzeń z komorami gazowymi Auschwitz. Przywołali je sami Niemcy, w tym młodzi demonstranci, którzy w styczniu-lutym 1991 r. wychodzili masowo na ulice i skandowali: „Niemcy to handlarze śmiercią!”. Fakt, że z Husajnem handlował nie rząd RFN, lecz firmy prywatne

(łamiąc zresztą niemieckie prawo), niewiele zmieniał w odbiorze całej tej sytuacji w Niemczech i świecie zachodnim, a przede wszystkim w Izraelu...

## Rakiety na U-Bootach

Oficjalnie nie było związku między tą „niemiecką hańbą” a decyzją, którą podjął wówczas kanclerz Kohl. Niemieccy autorzy, którzy mieli pisać o tym w kolejnych latach, taki związek jednak widzieli. W każdym razie, na początku lat 90. rząd Kohla przychylił się do prośby rządu Izraela, który od jakiegoś czasu zabiegał o okręty podwodne z niemieckich stoczni – po możliwie korzystnej cenie. Podobno Izraelczycy sondowali możliwość zakupu okrętów w różnych krajach, ale proponowane ceny były zaporowe (jeden taki U-Boot to koszt rządu kilkuset milionów euro, zależnie od wyposażenia).

Tymczasem Kohl zdecydował teraz, że jego rząd przejmie znaczącą część kosztów budowy okrętów, a kolejne rządy Niemiec kontynuowały ten program. W ten sposób do 2017 r. izraelską flotę zasililo pięć U-Bootów klasy „Delfin”, zbudowanych przez stocznice w Kilonii; w 2021 r. do służby ma trafić szósty.

W międzyczasie w mediach pojawiły się informacje, że okręty budowane dla Izraela są jeszcze w stoczni wyposażane w wyrzutnie rakiet – takich, które mogą przenosić broń atomową. W 2012 r. ty-

godnik „Spiegel” pisał już wprost: „Izrael umieszcza broń atomową na okrętach podwodnych z Niemiec” i „Niemcy pomagają Izraelowi w rozbudowie sił nuklearnych”. Rząd RFN skomentował to tak, że nie ma na ten temat żadnej wiedzy. Rząd Izraela, jak wiadomo, w ogóle nie komentuje informacji na temat posiadania broni atomowej. Niemniej „Spiegel” zacytował byłego ministra obrony Ehuda Baraka, który powiedział tygodnikowi: „Niemcy mogą być dumni z tego, że zabezpieczyli egzystencję państwa Izrael na wiele lat”.

Rzecz w tym, że posiadając okręty podwodne z raketami atomowymi, z których zapewne co najmniej jeden krąży gdzieś stale, ukryty w głębinach, Izrael daje sygnał wrogom, że każda próba zniszczenia państwa żydowskiego, np. atakiem z zaskoczenia, konwencjonalnym czy wręcz nuklearnym, może spotkać się z niszczącą odpowiedzią.

W 2017 r. rząd Angeli Merkel zgodził się sprzedać Izraelowi kolejne trzy okręty, przejmując 30 proc. ich kosztów (do kwoty 540 mln euro); mają wejść do służby od roku 2027.

## Próba zadośćuczynienia

W 2013 r. reporter „Die Welt” uzyskał zgodę na towarzyszenie załodze INS „Tekuma” w podmorskim patrolu. W artykule, który potem opublikował, znalazło się zdanie: „INS »Tekuma« kosztował pół miliarda dolarów, z czego Niemcy zapłaciły połowę, także jako próbę zadośćuczynienia za okropności Holocaustu”.

Opowiedzieliśmy tu (w skrócie) historię niemiecko-izraelskiej współpracy wojskowej – opartej, powtórzmy, nie na formalnych zobowiązaniach, lecz na dobrej woli rządu Niemiec – aby na końcu zadać pytanie: czy ona może być punktem odniesienia dla relacji polsko-niemieckich? Konkretnie: dla kwestii zadośćuczynienia za straty, które Polska poniosła podczas II wojny światowej, a których Niemcy nigdy nie wyrównały w stopniu adekwatnym do ich rozmiarów? Albo, jeszcze konkretniej: czy szczególna relacja polsko-niemiecka w sferze obronności mogłaby być wyjściem z problemu reparacji (tego, który rząd w Berlinie uważa za rozwiązany, a którego rząd w Warszawie oficjalnie nie porusza, lecz który jest przecież obecny)?

Oczywiście, to tylko pomysł – opinia publicystyczna. ©